

# pożądana



część 5

Wampirzych Dzienników

morgan rice

**Morgan Rice**  
**Pożądana**  
Серия «Wampirzych  
Dzienników», книга 5

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=43696375](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696375)*

*Pożądana (Część 5 Wampirzych Dzienników):*

*ISBN 9781632913890*

**Аннотация**

W POŻĄDANEJ (piątej części Wampirzych Dzienników) Caitlin budzi się i odkrywa, że znów przeniosła się w czasie. Tym razem trafia do osiemnastowiecznego Paryża, wieku obfitości, królów i królowych – ale też i rewolucji. Będąc ponownie z Calebem, swoją prawdziwą miłością, nareszcie może przeżyć ciche, romantyczne chwile, których nigdy nie mieli. Razem z nim spędza sielankowy czas w Paryżu, zwiedzając słynne miejsca, a ich miłość rośnie z każdym dniem. Caitlin postanawia porzucić poszukiwania ojca na rzecz delektowania się chwilą i miejscem oraz wspólnym życiem z Calebem. Caleb zabiera ją do swego średniowiecznego zamku nad brzegiem oceanu. Caitlin jest szczęśliwa jak nigdy przedtem, nawet w marzeniach. Jednak ich sielankowe chwile nie mogą trwać wiecznie. Następują wydarzenia, które zmuszają ich do rozstania. Caitlin jeszcze raz spotyka klan Aidena, Polly i wszystkich swoich przyjaciół. Ponownie skupia się na treningu i swojej misji. Poznaje

też pełen przepychu Wersal, gdzie królują stroje i przepych ponad wszelkie wyobrażenie. Dzięki niekończącym się ucztom, balom i koncertom, Wersal sam w sobie jest jak inny świat. Caitlin jest szczęśliwa, kiedy ponownie spotyka brata. On również cofnął się w czasie i tak samo jak ona śni o ojcu. Nic jednak nie jest takie, na jakie wygląda. Kyle również odbył podróż w czasie – tym razem cofnął się wraz ze swoim pomagierem Sergei – i dąży do zabicia Caitlin z niebywałą zaciętością. Sam i Polly wpadają w sidła toksycznego związku, który może przynieść zagładę wszystkim z ich otoczenia. Caitlin staje się pełnokrwistym, zahartowanym wojownikiem i jest bliższa znalezienia ojca oraz Tarczy niż kiedykolwiek wcześniej. Kulminacyjne, pełne wartkiej akcji zakończenie rzuca Caitlin w wir poszukiwań wskazówek w najważniejszych średniowiecznych zabytkach Paryża. Jednak przeżycie tym razem będzie wymagało od niej umiejętności, o których nigdy nawet nie marzyła. Zaś ponowne połączenie z Calebem będzie zależało od tego, czy dokona najtrudniejszych w swoim życiu wyborów – i poświęceń. – POŻĄDANA jest świetnie wyważoną pozycją. Posiada idealną ilość słów i jest doskonałym punktem wyjścia dla pozostałych części. Postacie są bardzo wiarygodne i naprawdę zależy mi na tym, by poznać ich kolejne losy. Wprowadzenie postaci historycznych było ciekawym zabiegiem i pozostawiło wiele do myślenia o niniejszej pozycji. The Romance Reviews

# Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	14
ROZDZIAŁ DRUGI	30
ROZDZIAŁ TRZECI	36
ROZDZIAŁ CZWARTY	42
ROZDZIAŁ PIĄTY	53
ROZDZIAŁ SZÓSTY	61
ROZDZIAŁ SIÓDMY	67
ROZDZIAŁ ÓSMY	82
Конец ознакомительного фрагмента.	87

# Morgan Rice

## Pożądana (Część 5

### Wampirzych Dzienników)

przekład: Michał Głuszek

#### Wybrane komentarze Wampirzych Dzienników

– Rice udaje się wciągnąć czytelnika w akcję już od pierwszych stron, wykorzystując genialną narrację wykraczającą daleko poza zwykłe opisy sytuacji... PRZEMIENIONA to dobrze napisana książka, którą bardzo szybko się czyta,

– *Black Lagoon Reviews* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice zrobiła świetną robotę budując niezwykle ciąg zdarzeń... Orzeźwiająca i niepowtarzalna. Skupia się wokół jednej dziewczyny... jednej niezwyklej dziewczyny! Wydarzenia zmieniają się w wyjątkowo szybkim tempie. Łatwo się czyta. Zalecany nadzór rodzicielski.

– *The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Zawładnęła moją uwagę od samego początku i do końca to się nie zmieniło... To historia o zadziwiającej przygodzie, wartkiej i pełnej akcji od samego początku. Nie ma tu miejsca na nudę.

–*Paranormal Romance Guild* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Kipi akcją, romansem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo.

– *vampirebooksite.com* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Wspaniała fabuła. To ten rodzaj książki, którą ciężko odłożyć w nocy. Zakończona tak nieoczekiwanym i spektakularnym akcentem, iż będziesz natychmiast chciał kupić drugą część, tylko po to, aby zobaczyć, co będzie dalej.

–*The Dallas Examiner* (komentarz dotyczący *Kochany*)

Rywal ZMIERZCHU oraz PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW. Nie będziesz mógł oprzeć się chęci czytania do ostatniej strony. Jeśli jesteś miłośnikiem przygody, romansu i wampirów to ta książka jest właśnie dla ciebie!

–*Vampirebooksite.com* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Morgan Rice udowadnia kolejny już raz, że jest szalenie utalentowaną autorką opowiadań... Jej książki podobają się szerokiemu gronu odbiorców łącznie z młodszymi fanami gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się niespodziewanym akcentem, który pozostawia czytelnika w szoku.

–*The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Kochany*)

## O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI (kolejne w przygotowaniu), skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonej z dwóch książek (kolejne w przygotowaniu) i bestsellerowej serii fantasy KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA, obejmującej trzynaście książek (kolejne w przygotowaniu).

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim i słowackim (w przygotowaniu tłumaczenia w innych językach).

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Vampire Journals), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Król Czarnoksiężnika) oraz POWRÓT SMOKÓW (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony [www.morganricebooks.com](http://www.morganricebooks.com), gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i

darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie!

## **Książki autorstwa Morgan Rice**

### **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY**

**POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)**

**POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)**

### **KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA**

**WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)**

**MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)**

**LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)**

**ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)**

**BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)**

**SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)**

**RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)**

**OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)**

**NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)**

**MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)**

**ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)**

**KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)**

**RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)**

**PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)**



SEN ŚMIERTELNIKÓW (Część 15)  
POTYCZKI RYCERZY (Część 16)  
ŚMIERTELNA BITWA (Część 17)

## **THE SURVIVAL TRILOGY**

ARENA ONE: SLAVESRUNNERS (Book #1)  
ARENA TWO (Book #2)

## **WAMPIRZE DZIENNIKI**

PRZEMIENIONA (Część Pierwsza)  
KOCHANY (Część Druga)  
ZDRADZONA (Część Trzecia)  
PRZEZNACZONA (Część 4)  
POŻĄDANA (Część 5)  
ZARECZONA (Część 6)  
ZAŚLUBIONA (Część 7)  
ODNALEZIONA (Część 8)  
WSKRZESZONA (Część 9)  
UPRAGNIONA (Część 10)  
NAZNACZONA (Część 11)

## KINGS AND SORCERERS



### THE SORCERER'S RING

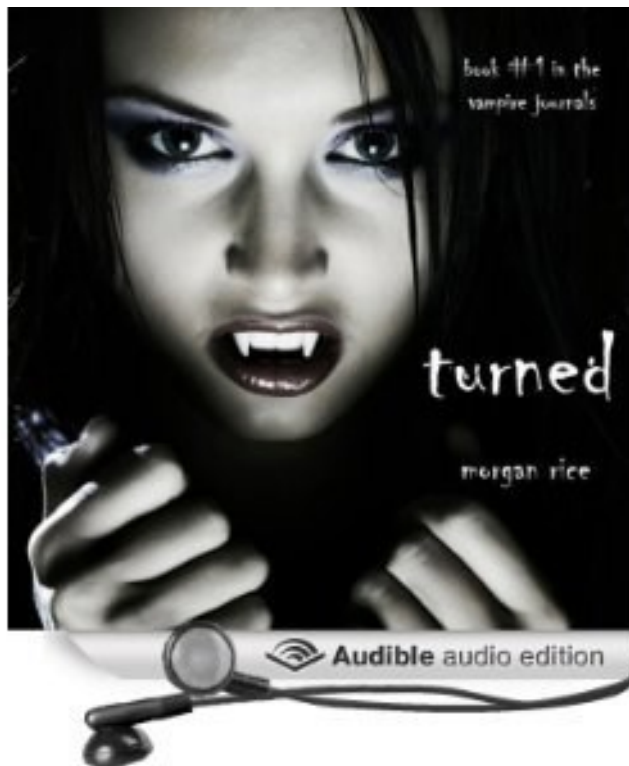


### THE SURVIVAL TRILOGY



### the vampire journals





**Posłuchaj cyklu Wampirze  
Dzienniki w formacie audio!**

Copyright © 2012 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi

na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby. Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Na okładce: Jennifer Onvie. Fotograf: Adam Luke Studios, Nowy Jork. Makijaż: Ruthie Weems. Kontakt: Morgan Rice.

## **FAKT:**

Montmartre w Paryżu słynie z ogromnej Bazyliki Sacre-Coeur, świątyni zbudowanej w dziewiętnastym wieku. Tuż obok niej wznosi się na szczycie wzgórza mało komu znany kościół

św. Piotra. Ten niewielki, anonimowy wręcz kościół jest o wiele starszy od swego sąsiada i datuje swoje powstanie na trzeci wiek naszej ery. Jego znaczenie również jest donośniejsze: to tu składano przysięgę, która doprowadziła do powstania Towarzystwa Jezusowego.

## FAKT:

Mieszcząca się na niewielkiej wysepce w samym środku Paryża (nieopodal słynnej katedry Notre Dame) kaplica Sainte Chapelle została wzniesiona w trzynastym wieku i przez całe stulecia mieściła w sobie najcenniejsze relikty chrześcijaństwa, łącznie z Koroną Cierniową, Świętą Włócznią, fragmentami krzyża, na którym ukrzyżowano Jezusa. Relikty te spoczywały w wielkiej, bogato zdobionej, srebrnej skrzyni...

*– Jakżeś ty jeszcze piękna! Mamże myśleć,  
Że bezcielesna nawet śmierć ulega  
Wpływowi miłości? że chudy ten potwór  
W ciemnicy tej cię trzyma, jak kochankę?  
Bojąc się tego, zostanę przy tobie,  
I nigdy, nigdy już nie wyjdę z tego  
Pałacu nocy...-*

*-- William Shakespeare, Romeo i Julia*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Paryż, Francja  
(lipiec, 1789)

Caitlin Paine przebudziła się w mroku.

Powietrze było ciężkie. Oddychała z trudem, próbując się poruszyć. Leżała na plecach, na twardej powierzchni. Wokół panowały chłód i wilgoć, a kiedy podniosła wzrok, dostrzegła małego promyk padającego na nią światła.

Miała ściśnięte ramiona, jednak zdołała z wysiłkiem wyprostować ręce. Wyciągnęła dłonie przed siebie i poczuła nad sobą płaską powierzchnię. Przesunęła po niej dłońmi, wyczuła rozmiary i zorientowała się, że została zamknięta w jakiejś skrzyni. W trumnie.

Serce zaczęło mocniej bić. Nienawidziła ciasnych pomieszczeń. Zaczęła dyszeć. Zastanawiać się, czy śniła, czy utknęła w jakiejś okropnej otchłani, czy też naprawdę przebudziła się w innych czasach, innym miejscu.

Ponownie podniosła obie dłonie i popchnęła ze wszystkich sił. Płyta poruszyła się o ułamek cala, wystarczająco jednak, by zdołała wcisnąć palec w szparę. Popchnęła ponownie, ze wszystkich sił i ciężka, kamienna pokrywa zsunęła się dalej ze zgrzytem kamienia pocieranego o kamień.

Wcisnęła więcej palców w szerszy otwór i z całych sił naparła

ponownie. Tym razem wieko odpadło.

Usiadła, oddychając ciężko i rozglądając się wokół. Płuca z wysiłkiem nabierały świeżego powietrza. Na widok światła spięła się, unosząc dłoni do oczu. Zastanawiała się, jak długo przebywała w mroku.

Siedząc i osłaniając oczy, nasłuchiwała, gotowa zareagować na każdy dźwięk, jakikolwiek ruch. Przypomniała sobie, jak ciężko przeżyła swoje powstanie z grobu we Włoszech. Tym razem nie zamierzała ryzykować. Była przygotowana na każdą ewentualność, gotowa bronić się przed jakimikolwiek wieśniakami, czy wampirami – czymkolwiek tam jeszcze – co mogło czyhać na nią w pobliżu.

Tym razem jednak wszystko tonęło w ciszy. Powoli podniosła powieki i zauważyła, że rzeczywiście była sama. Kiedy jej wzrok dostosował się do światła, zobaczyła, że nie było tu wcale tak jasno. Była w przepastnym, kamiennym pomieszczeniu z nisko sklepieniem stropem. Wyglądało to na kościelną kryptę. Wnętrze rozświetlała jedynie samotnie płonąca świeca. Zdała sobie sprawę, że musiała być noc.

Teraz, kiedy jej oczy przywykły do światła, rozejrzała się dokładniej. Miała rację: leżała w kamiennym sarkofagu, w narożniku kamiennej komnaty wyglądem przypominającej kościelną kryptę. Wewnątrz krypty nie było niczego poza kilkoma kamiennymi posągami i kolejnymi sarkofagami.

Wyszła z grobowca. Rozciągnęła się, sprawdzając wszystkie mięśnie. Dobrze było znów stanąć na nogach. Była wdzięczna,

że tym razem, zaraz po obudzeniu, nie musiała walczyć. Przynajmniej miała chwilę ciszy dla siebie, mogła spokojnie się pozbierać.

Ale mimo wszystko nadal była zdezorientowana. Głowa ciążyła jej, jakby przebudziła się z tysiącletniego snu. Natychmiast też poczuła, jak żołądek ścisnął się z głodu.

Ponownie zaczęła się zastanawiać. *Gdzie jest? Który to rok? I najważniejsze, gdzie jest Caleb?*

Była przybita, nie znalazłszy go u swego boku.

Zlustrowała pomieszczenie, szukając jakichkolwiek śladów. Ale niczego tam nie było. Wszystkie pozostałe sarkofagi były otwarte i puste. Nigdzie indziej nie mógłby się schować.

– Halo? – zawołała. – Caleb?

Przeszła kilka kroków niepewnie i zauważyła niskie, sklepione drzwi, jedyne wejście i wyjście z tego pomieszczenia. Podeszła do nich i nacisnęła klamkę. Niezamknięte na zamek drzwi ustąpiły z łatwością, otwierając się szeroko.

Zanim wyszła, rozejrzała się ponownie po swym otoczeniu, upewniając się, że nie zostawiła tu niczego potrzebnego. Sięgnęła dłonią do szyi i poczuła wiszący dokoła niej naszyjnik; zagłębiła dłonie w kieszeniach i uspokoiła się, czując swój dziennik i jeden wielki klucz. Tylko tyle pozostało jej na całym świecie i tylko tyle potrzebowała.

Kiedy wyszła na zewnątrz, podążyła długim, kamiennym, zwieńczonym łukiem korytarzem. Jediną rzeczą, o której potrafiła w tej chwili myśleć, było odszukanie Caleba. Z



pewnością cofnął się w czasie razem z nią. Prawda?

A jeśli tak, to czy pamiętałby ją tym razem? Nie była w stanie nawet sobie wyobrazić, że musiałaby przechodzić przez to jeszcze raz. Szukać go, a potem przekonać się, że jej nie pamięta. Nie. Modliła się, żeby tym razem było inaczej. Zapewniała samą siebie, że nie umarł, i że razem cofnęli się w czasie. Tak po prostu *musiało być*.

Kiedy jednak pokonywała śpiesznie korytarz, potem wspięła się po kamiennych schodach, czuła, jak przyspiesza kroku, jak przepełnia ją złe przeczucie, że nie przybył tu z nią. Przecież nie obudził się u jej boku, nie trzymał jej dłoni. Nie było go tam, by dodać jej otuchy. Czy to znaczyło, że nie odbył podróży w czasie? Ucisk w żołądku jedynie się nasilił.

I co z Samem? Też tam przecież był. Dlaczego nie było po nim żadnego śladu?

W końcu dotarła na szczyt schodów, otworzyła kolejne drzwi i stanęła w miejscu zdumiona widokiem. Znajdowała się w głównej kaplicy niezwykłego kościoła. Nigdy jeszcze nie widziała tak wysokich stropów, tak wielu witraży, ani tak ogromnego, wymyślnego ołtarza. Rzędy ław ciągnęły się w nieskończoność sprawiając wrażenie, że świątynia mogła pomieścić tysiące wiernych.

Na szczęście nie było tu teraz nikogo. Wszędzie płonęły świece, ale najwyraźniej było już późno. Ucieszyło ją to – pojawienie się przed rzeszą tysięcy gapiących się na nią ludzi było ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła.

Ruszyła powoli wzdłuż nawy wprost w kierunku wyjścia. Rozglądała się za Calebem, Samem, a może nawet księdzem. Kimś takim jak ten ksiądz w Asyżu, kto mógłby ją tu powitać i wyjaśnić wszystko. Kto mógłby powiedzieć jej gdzie jest, w jakich czasach i z jakiego powodu.

Ale nie było nikogo. Wydawało się, że Caitlin była tu zupełnie sama.

Sięgnęła do ogromnych, dwuskrzydłowych drzwi i przygotowała się na spotkanie tego, co mogło być za nimi.

Kiedy je otworzyła, gwałtownie wciągnęła powietrze. Noc rozświetlały wszechobecne, uliczne pochodnie, a przed sobą ujrzała tłum ludzi. Nie zamierzali wejść do kościoła. Raczej kłębili się beładnie na wielkim, otwartym placu. Panował biesiadny, pełen zamieszania nastrój, a kiedy Caitlin poczuła żar powietrza od razu odgađała, że jest lato. Była zaszokowana widokiem tych wszystkich ludzi, ich staroświecką garderobą, ich odświętnością. Na szczęście nikt nie zwracał na nią uwagi. Ona zaś nie potrafiła odwrócić od nich oczu.

Miała przed sobą setki ludzi, w większości ubranych odświętnie i najwyraźniej pochodzących z innego stulecia. Wśród nich zauważyła konie, powozy, ulicznych handlarzy, artystów i śpiewaków. Scenerię letniej, tłumnej nocy, która całkowicie ją przytłoczyła. Zastanawiała się, który to może być rok i gdzie prawdopodobnie wylądowała. Co ważniejsze, kiedy już zlustrowała wszystkie dziwaczne i obce sobie twarze, przyszło jej na myśl pytanie, czy Caleb może czekać na nią wśród całej

tej rzeszy ludzi.

Rozpaczliwie przeczesła wzrokiem cały tłum, mając nadzieję, starając się przekonać samą siebie, że Caleb, a może też Sam, są wśród tych ludzi. Rozglądała się na wszystkie strony, ale po kilku minutach uświadomiła sobie, że po prostu nie ma ich tam.

Odeszła kilka kroków, odwróciła się i stanęła naprzeciw świątyni, mając nadzieję, że być może rozpozna jej fasadę, że otrzyma jakąś wskazówkę, gdzie jest.

I tak się stało. Nie był z niej żaden specjalista od architektury, czy historii, ani kościołów, ale niektóre rzeczy były jej znane. Niektóre miejsca były tak oczywiste, tak wyryte w ludzkiej świadomości, że i ona je rozpoznawała. A miała przed sobą właśnie jedno z takich miejsc.

Stała u wrót katedry Notre Dame.

Była w Paryżu.

Miejscu, którego z żadnym innym nie mogłaby pomylić. Te ogromne potrójne drzwi ozdobnie rzeźbione; dziesiątki niewielkich posągów nad nimi; misterna fasada pnąca się setki stóp ku niebu. Była jednym z najlepiej rozpoznawanych miejsc na świecie. Widziała ją w Internecie wiele razy. Nie mogła uwierzyć: naprawdę była w Paryżu.

Zawsze chciała jechać do Paryża, ustawicznie błagała matkę, by ją tam zabrała. Raz, kiedy miała chłopaka w liceum, miała nadzieję, że to on ją tam zabierze. Zawsze marzyła o tym, by jechać do Paryża. Świadomość, że tu była, w innym stuleciu co

prawda, zaparła jej dech w piersi.

Poczuła, że ludzie w gęstniejącym z każdą chwilą tłumie zaczęli ją potrącać. Spojrzała w dół, chcąc zreasumować swój ubiór. Z zażenowaniem stwierdziła, że wciąż miała na sobie proste więzienne okrycie, które dostała od Kyle’a w Koloseum, w Rzymie. Miała płócienną tunikę, której szorstki materiał obcierał jej skórę, o wiele na nią za dużą, obwiązaną liną dokoła jej tułowia i nóg. Włosy były potargane, niemyte, przyklejone do twarzy. Wyglądała jak więzienny uciekinier lub jakiś włóczęga.

Czując coraz większą obawę, znów zaczęła rozglądać się za Calebem, Samem, za jakąkolwiek znaną jej twarzą, kimkolwiek, kto mógłby jej pomóc. Nigdy jeszcze nie czuła się taka samotna. Niczego tak nie pragnęła, jak ujrzeć ich w tej chwili, przekonać się, że nie przybyła tu sama, że wszystko będzie w porządku.

Lecz nie rozpoznała nikogo.

*Może jestem tą jedyną, pomyślała. Może naprawdę jestem znów sama.*

Na myśl o tym poczuła, jakby ktoś wbił jej nóż w brzuch. Chciała zwinąć się w kłębek, poczłapać z powrotem i schować się w kościele, zostać wysłana w inne czasy, w jakieś inne miejsce – gdziekolwiek, gdzie po przebudzeniu ujrzałaby znajome sobie twarze.

Ale musiała zebrać się w sobie. Wiedziała, że nie ma odwrotu, żadnej opcji poza drogą na przód. Musiała po prostu być dzielna, odnaleźć siebie w tym miejscu i czasie. Nie miała po prostu innego wyboru.



Musiała wydostać się z tłumu. Musiała pobyć przez chwilę sama, odpocząć, nakarmić się i pomyśleć. Musiała zdecydować, dokąd pójść, gdzie szukać Caleba i czy w ogóle można go tu odnaleźć. Równie ważne było, by zorientować się, dlaczego pojawiła się w tym mieście i w tym czasie. Nie miała nawet pojęcia, który to rok.

Jakiś człowiek otarł się o nią, przechodząc obok. Chwyciła go za ramię pod wpływem nagłego impulsu, chęci poznania daty.

Odwrócił się i spojrzał na nią zaskoczony gwałtownym zatrzymaniem w miejscu.

– Przepraszam – powiedziała, uświadomiwszy sobie, jak bardzo zaschło jej w gardle i jak niechlujnie wyglądała w chwili, kiedy wypowiedziała pierwsze słowa – jaki mamy rok?

I natychmiast poczuła zażenowanie, zdawszy sobie sprawę, że musiała wydać się mu szalona.

– Rok? – spytał zdezorientowany mężczyzna.

– Hmm... Wybacz, ale jakoś... nie pamiętam.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, powoli potrząsnął głową, jakby doszedł do wniosku, że coś było z nią nie tak.

– Tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewiąty oczywiście. I jeszcze sporo czasu nam zostało do Sylwestra, więc naprawdę nie masz wymówki – powiedział, potrząsając głową drwiąco i poszedł w swoją stronę.

Tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewiąty. Znaczenie tych liczb dotarło do niej w ułamku sekundy. Przypomniała sobie, iż ostatnio był rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty pierwszy. Dwa lata. Niezbyt odległa data.

A jednak, była teraz w Paryżu, całkowicie innym świecie w odróżnieniu od Wenecji. Dlaczego tutaj? I dlaczego w tym roku?

Zaczęła głowić się, rozpaczliwie próbując przypomnieć sobie zajęcia z historii, co takiego działo się we Francji w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Z zażenowaniem stwierdziła, że nic nie pamiętała. Zrugła się kolejny raz za swoją nieuwagę na zajęciach. Gdyby wiedziała wtedy, w liceum, że przyjdzie jej odbywać podróże w przeszłość, ślęczałaby do późnej nocy nad historią i zadała sobie trud nauczania się wszystkiego na pamięć.

Teraz to już nie miało większego znaczenia. Teraz to ona stała się częścią historii. Miała okazję ją zmienić, jak również odmienić samą siebie. Zdała sobie sprawę, że przeszłość można było kształtować. Tylko dlatego, że jakieś wydarzenia zostały uwzględnione w książkach do historii nie znaczyło, że nie mogła ich zmienić, kiedy już cofnęła się w czasie. W jakiejś mierze już to zrobiła: jej pojawienie się w tych czasach miało wpływ na wszystko. A to z kolei, na swój nieznaczący sposób, zmieniło cały bieg historii.

Dzięki temu odczuła znaczenie swoich czynów jeszcze bardziej. Mogła kreować przeszłość na nowo.

Chłonąc całe to wytworne otoczenie, odprężyła się nieco,

a nawet poczuła ożywienie. Przynajmniej wylądowała w urokliwym miejscu, przepięknym mieście i w idealnych czasach. Nie była to jednak epoka kamienia łupanego, ani też nie wylądowała pośród pustkowia. Wszystko wokół niej wyglądało tak nienagannie, ludzie ubrani byli ładnie, a brukowane ulice błyszczały od światła rzucanego przez pochodnie. Jedyną rzeczą, którą zapamiętała o Paryżu w osiemnastym wieku był fakt, że był to dla Francji okres przepychu, wielkiego bogactwa, w którym nadal rządy sprawowali królowie i królowe.

Caitlin zauważyła, że Notre Dame mieściła się na niewielkiej wysepce i poczuła potrzebę opuszczenia jej. Było tu po prostu zbyt tłoczno, a ona potrzebowała spokoju. Zauważyła kilka mostków wiodących na zewnątrz i ruszyła w kierunku jednego. Pozwoliła sobie żywić nadzieję, że być może intuicja prowadziła ją w jakimś konkretnym kierunku. Kiedy przekraczała most, zauważyła, jak piękna jest noc w Paryżu, rozświetlona pochodniami ciągnącymi się wzdłuż całej rzeki i blaskiem księżyca w pełni. Pomyślała o Calebie i żałowała, że nie ma go tu, by podziwiać widoki razem z nią.

Idąc przez most, spojrzała na wodę i powróciła do wspomnień. Myśli o Pollepel, o rzece Hudson nocą, o tym, jak księżyc rozświetlał rzekę. Odczuła nagłe pragnienie, by skoczyć z mostu, przetestować swoje skrzydła, zobaczyć, czy nadal może latać i unieść się wysoko ponad to wszystko.

Ale czuła się słaba i głodna, a kiedy odchyliła się, w ogóle nie poczuła obecności skrzydeł. Zmartwiła się, że podróż w czasie

wpłynęła jakoś na jej zdolności, na jej moce. Wcale nie czuła się taka silna jak kiedyś. W zasadzie była niemal jak człowiek. Słabowita. Bezradna. Nie spodobały jej się te uczucia.

Kiedy pokonała most, ruszyła bocznymi ulicami. Wałęsała się godzinami, beznadziejnie zagubiona. Szła wijącymi się uliczkami, coraz bardziej oddalając się od rzeki, coraz dalej na północ. Miasto wprowadzało ją w zadumę. Pod niektórymi względami przypominało Wenecję i Florencję z roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego. Podobnie jak oba te miasta, Paryż również wydawał się niezmieniony, nawet w stosunku do tego, jak przedstawiał się w dwudziestym pierwszym wieku. Nigdy tutaj nie była, ale widziała zdjęcia i była w szoku, rozpoznawszy tak wiele budynków i monumentów.

I tu ulice były w większości brukowane, wypełnione końmi z powozami i sporadycznie przejeżdżającymi jeźdźcami. Ludzie przechadzali się nieśpiesznie w szykownych strojach, jakby cały czas na świecie należał do nich. Podobnie też jak we Florencji i Wenecji, nie było tu żadnej kanalizacji. Caitlin nie mogła nie zauważyć odchodów walających się po ulicach, ani też nie wzdrygnąć się z powodu smrodu unoszącego się w upalnym, letnim powietrzu. Żałowała, że nie miała już przy sobie jednej z tych sakiewek z potpourri, które otrzymała od Polly w Wenecji.

Jednakże, w odróżnieniu od tamtych miast, Paryż był światem samym w sobie. Ulice były tu szersze, budynki niższe i piękniej zaprojektowane. Miasto sprawiało wrażenie starszego, bogatszego i piękniejszego. Nie było też aż tak zatłoczone: im



bardziej oddalała się od Notre Dame, tym mniej ludzi widziała. Być może powodem tego była późna pora nocy, ale i tak ulice wyglądały na niemal puste.

Szła i szła, czując coraz większe zmęczenie w nogach i stopach, zaglądając w każdy kąt w poszukiwaniu choćby śladu Caleba, jakiejś wskazówki, która mogłaby skierować ją w odpowiednią stronę. Ale niczego nie znalazła.

Okolica zmieniała się mniej więcej co dwadzieścia przecznic, a wraz z nią zmieniały się odczucia Caitlin. Idąc coraz dalej na północ, zaczęła wspinać się na wzgórze w nowej dzielnicy z wąskimi alejkami oraz kilkoma knajpami. Kiedy minęła jedną na rogu, zauważyła rozwalonego przed nią mężczyznę, opartego niezdarnie o mur, pijanego i nieprzytomnego. Ulica była całkowicie opustoszała i przez chwilę Caitlin aż skreśliło z głodu. Jakby ukłucie głodu rozdarło jej żołądek na pół.

Patrzyła na leżącego mężczyznę, z wytężonym wzrokiem utkwionym w jego szyi, widząc, jak pulsuje mu krew. W tym jednym momencie poczuła niewysłowioną chęć rzucenia się na niego i wypicia krwi. Odczucie to wykraczało poza jakiekolwiek pragnienie – przypominało raczej nakaz. Każda jej cząstka zmuszała ją niemal do zrobienia tego.

Resztkami siły woli zmusiła się, by odwrócić wzrok. Prędzej umarłaby z głodu, niż skrzywdziła człowieka.

Rozejrzała się wokół, zastanawiając się, czy gdzieś tu był jakiś las, miejsce, gdzie mogłaby zapolować. Widziała co prawda sporadyczne polne drogi i parki, jednak nic, co przypominałoby

las.

Dokładnie w tym momencie otworzyły się gwałtownie drzwi knajpy i z jej wnętrza wypadł, potykając się, jakiś mężczyzna – w zasadzie został wyrzucony przez jednego z obsługi. Mężczyzna, najwyraźniej pijany, zaczął kląć i krzyczeć na nich.

Potem odwrócił się, a jego wzrok spoczął na Caitlin.

Był dobrze zbudowany, a z oczu mu źle patrzyło.

Caitlin spięła się. Znów zaczęła zastanawiać się, czy pozostały jej moce, jakiegokolwiek.

Odwróciła się i odeszła, przyspieszając kroku, ale wyczuła, że mężczyzna podążył za nią.

Zanim zdążyła się odwrócić, może sekundę później, mężczyzna chwycił ją od tyłu w niedźwiedzim uścisku. Był szybszy i silniejszy, niż sobie wyobrażała. Wyczuła też jego paskudny oddech dolatujący znad ramienia.

Oprych był jednak również pijany. Zataczał się, nawet trzymając ją w objęciu. Caitlin skupiła się, przypomniała sobie treningi, uchyliła się i zwała go z nóg, używając jednej z technik walki, których nauczył ją Aiden na Pollepel. Mężczyzna poleciał w dół i wylądował na plecach.

Nagle w Caitlin odżyło wspomnienie Rzymu, Koloseum, jej walki na arenie z wieloma napastnikami naraz. Było takie sugestywne, że przez chwilę zapomniała, gdzie się znajduje.

Doszła jednak do siebie w samą porę. Pijany mężczyzna zdołał wstać i ruszyć do ataku, słaniając się na nogach. Caitlin odczekała do ostatniej chwili, po czym zeszła mu z drogi i

mężczyzna poleciał w przód, wprost na twarz.

Był zamroczony i zanim zdążył stanąć ponownie na nogi, Caitlin pospieszenie oddaliła się. Była zadowolona, że mimo wszystko poradziła sobie z nim, jednak wydarzenie to wstrząsnęło nią do głębi. Zmartwiła się, że nadal niepokoiły ją przebliski pamięci o przygodach w Rzymie. Nie czuła też swoich nadludzkich mocy. Była równie słaba, jak zwykły człowiek. Myśl ta przeraziła ją ponad wszystko. Rzeczywiście musiała teraz radzić sobie sama.

Rozejrzała się dokoła, odchodząc od zmysłów z niepokojem, gdzie teraz powinna pójść, co robić. Nogi piekły ją od długiej wędrówki i zaczęła poddawać się rozpacz.

I wówczas to ujrzała. Podniosła wzrok i przed sobą zobaczyła ogromne wzgórze. Na jego szczycie wznosiło się wielkie, średniowieczne opactwo. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła wytłumaczyć, czuła, że budowla przyciągała ją do siebie. Rozmiar wzgórza nie zachęcał do wspinaczki, ale nie miała innego wyboru.

Wspięła się na nie, czując zmęczenie ponad wszystko, czegokolwiek do tej pory doświadczyła, żałując, że nie może latać.

W końcu dotarła do frontowych drzwi opactwa i objęła wzrokiem masywne, dębowe podwoje. Miejsce wyglądało na antyczne. Nie mogła wyjść z podziwu, że kościół ten, chociaż był dopiero rok tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewięć, wyglądał, jakby stał tu od tysięcy lat.

Czuła, że coś, nie wiedząc co, przyciąga ją do niego. Nie wiedząc, gdzie indziej mogłaby się udać, zebrała się na odwagę i zapukała cicho.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Spróbowała użyć klamki i ze zdziwieniem stwierdziła, że drzwi nie były zamknięte. Weszła do środka.

Antyczne wrota zaskrzypiały, otwierając się powoli. Minęła chwila, zanim oczy Caitlin przyzwyczyły się do ogromnej, zacienionej świątyni. Zlustrowała wnętrze. Jego rozmiary i panujący tu nastrój wywarły na niej silne wrażenie. Wciąż była jeszcze późna noc i ten prosty, surowy kościół, niemal w całości zbudowany z kamienia, ozdobiony witrażami, rozświetlały wszechobecne, wielkie, dopalające się świece. Na drugim, odległym końcu znajdował się prosty ołtarz, wokół którego umieszczono dziesiątki kolejnych świec.

Poza tym wszystkim, kościół zdawał się opustoszały.

Caitlin zastanowiła się, co ona w ogóle tu robi. Czy był jakiś wyjątkowy ku temu powód? Czy też jej umysł płatał figle?

Nagle otworzyły się boczne drzwi i Caitlin obróciła się na pięcie.

Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła zakonnicę – niską, słabowitą, ubraną w zwiewne białe szaty i biały kaptur – która ruszyła w jej kierunku. Kobieta podeszła powoli wprost do Caitlin.

Ściągnęła kaptur, spojrzała na nią i uśmiechnęła się. Miała ogromne, błyszczące niebieskie oczy i wyglądała na zbyt

młoda, by być zakonnicą. Kiedy jej uśmiech się powiększył, Caitlin poczuła emanujące od niej ciepło. Wyczuła również, że zakonnica należała do jej rodzaju: była wampirem.

– Siostra Paine – powiedziała cicho zakonnica. – To zaszczyt gościć cię tutaj.

# ROZDZIAŁ DRUGI

Miała wrażenie, że wkroczyła w nierzeczywisty świat. Szła za zakonnicą prowadzącą ją długim korytarzem przez opactwo. Miejsce to było przepiękne i najwyraźniej tętniło życiem. Wszędzie krzątały się zakonnice w białych szatach, tak jakby gotując się do porannych posług. Jedna z nich szła, wymachując przed sobą karafką i roztaczając wokół delikatną woń, podczas gdy inne cicho i śpiewnie recytowały poranne modły.

Po kilku minutach wędrówki w ciszy, Caitlin zaczęła się zastanawiać, dokąd zakonnica ją prowadziła. W końcu zatrzymały się przed pojedynczymi drzwiami. Zakonnica otworzyła je i ich oczom ukazał się niewielki, skromny pokój z widokiem na Paryż. Caitlin przypomniała sobie od razu izbę, w której spała, kiedy była w klasztorze w Sienie.

– Na łóżku znajdziesz przebranie – powiedziała zakonnica.  
– Na dziedzińcu jest sadzawka, w której możesz się obmyć. I dodała, wskazując palcem – A to jest dla ciebie.

Caitlin podążyła wzrokiem za palcem i zauważyła niewielki, kamienny piedestał w rogu pomieszczenia, na którym spoczywał srebrny kielich wypełniony białym płynem. Zakonnica uśmiechnęła się do niej.

– Masz tu wszystko, czego potrzeba, by odpocząć i porządnie się wyspać. Później sama podejmiesz decyzję, co dalej.

– Decyzję? – spytała Caitlin.

– Powiedziano mi, że masz już jeden klucz. Będziesz musiała odszukać pozostałe trzy. Jednak decyzja o tym, czy podejmiesz się wypełnienia swojej misji i kontynuowania podróży zawsze należeć będzie do ciebie.

– To dla ciebie.

Wyciągnęła dłoń i wręczyła Caitlin cylindryczne pudełko wysadzone klejnotami.

– To list od twojego ojca. Przeznaczony tylko dla twoich oczu. Strzegłyśmy go od stuleci. Nigdy nie został otwarty.

Caitlin wzięła go ze zdziwieniem, czując jego ciężar na dłoni.

– Naprawdę ufam, że będziesz kontynuowała swoją misję – powiedziała cicho. – Potrzebujemy cię, Caitlin.

I nagle odwróciła się, gotowa odejść.

– Zaczekaj! – krzyknęła Caitlin.

Kobieta zatrzymała się.

– Jestem w Paryżu, zgadza się? W tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku?

Zakonnica uśmiechnęła się.

– Tak, zgadza się.

– Ale dlaczego? Dlaczego akurat tutaj? Dlaczego teraz? Dlaczego w tym mieście?

– Obawiam się, że sama musisz się tego dowiedzieć. Jestem jedynie zwykłą służką.

– Ale dlaczego akurat ten kościół zwabił mnie do siebie?

– Jesteś w opactwie św. Piotra. Na Montmartre – powiedziała kobieta. – Nasz klasztor stoi tu od setek lat. To bardzo święte

miejsce.

– Dlaczego? – naciskała Caitlin.

– To tu spotykali się wszyscy, by złożyć przysięgę pieczętującą założenie Towarzystwa Jezusowego. To tutaj narodziło się chrześcijaństwo.

Caitlin wlepiła w nią wzrok i stała oniemiała. Zakonnica uśmiechnęła się do niej w końcu i powiedziała

– Witamy.

To powiedziawszy, ukloniła się nieznacznie i odeszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Caitlin odwróciła się i zlustrowała wnętrze. Była wdzięczna za gościnę, za odzież, w którą mogła się przebrać, za możliwość wzięcia kąpieli, za wygodne łóżko stojące w rogu. Wydawało się jej, że nie da rady zrobić już chociażby jednego kroku. W gruncie rzeczy, była tak zmęczona, że mogłaby zasnąć na wieki.

Trzymając wysadzone drogimi kamieniami puzderko w dłoni, podeszła do narożnika i odstawiła je. Zwój mógł poczekać. Jej głód nie.

Podniosła przelewający się niemal kielich i przyjrzała mu uważnie. Wyczuła już, co zawierał: to była biała krew.

Przyłożyła do ust i zaczęła pić. Była słodsza od zwykłej krwi i łatwiej spływała do gardła – i szybciej też krążyła w jej żyłach. Po chwili czuła się, jak nowo narodzona, silniejsza niż kiedykolwiek. Mogłaby pić ją już zawsze.

W końcu odstawiła pusty kielich i zabrała srebrne puzderko ze sobą do łóżka. Położyła się i zorientowała, jak bardzo obolałe



były jej nogi. Już samo położenie się do łóżka przyniosło jej wielką ulgę.

Odchyliła się, oparła głowę o niewielką, prostą poduszkę i zamknęła oczy, tylko na chwilę. Była zdecydowana otworzyć je w następnej sekundzie i przeczytać list od ojca.

Jednak w chwili, kiedy jej oczy się zamknęły, ogarnęło ją niewiarygodne zmęczenie. Nie była w stanie otworzyć ich znowu, nawet gdyby spróbowała. Po sekundzie spała już głębokim snem.

\*

*Stała na arenie Rzymskiego Koloseum w pełnym bojowym rynsztunku z mieczem w dłoni. Była gotowa zmierzyć się z każdym napastnikiem, jaki by się nadarzył – naprawdę czuła chęć podjęcia walki. Kiedy jednak obróciła się wokół, spojrzała we wszystkie strony, zauważyła, że arena była pusta. Podniosła wzrok na rzędy siedzeń i zobaczyła, że całe to miejsce było opustoszałe.*

*Zamrugnęła powiekami, a kiedy otworzyła oczy, nie była już w Koloseum, ale w Watykanie, w Kaplicy Sykstyńskiej. Nadal dzierżyła miecz, tym razem jednak przyodziana była w szatę. Rozejrzała się po sali i zobaczyła setki wampirów ustawionych w idealnych rzędach, ubranych w białe szaty, spoglądających swymi błyszczącymi, niebieskimi oczyma. Stali cierpliwie wzdłuż ścian, w ciszy, idealnie na baczność.*

*Caitlin upuściła miecz w pustej komnacie i broń wyładowała ze szcęką na ziemi. Podeszła powoli do głównego kapłana, wyciągnęła dłoń i wzięła od niego srebrny kielich wypełniony białą krwią. Zaczęła pić, a płyn przelał się i pociekł jej po policzkach.*

*Nagle znalazła się na pustyni. Całkiem sama. Szła, brodząc gołymi stopami w prażącym piachu, w piekącym słońcu, a w dłoni trzymała ogromny klucz. Ale był on tak wielki – tak nienaturalnie duży – że jego ciężar przytłaczał ją do ziemi.*

*Szła i szła, łapiąc ciężko powietrze w tej spiekocie, aż w końcu dotarła do ogromnej góry. Na jej szczycie zauważyła stojącego mężczyznę, który spoglądał w dół i uśmiechał się do niej.*

*Wiedziała, że to ojciec.*

*Ruszyła pędem, biegnąc ze wszystkich sił, starając się wbiec na górę, zbliżając się coraz bardziej i bardziej do niego. W tej samej chwili słońce wzeszło wyżej na nieboskłon i zaczęło prażyć dotkliwiej, dusić ją. Mogłoby wydawać się, że świeci wprost zza jej ojca. Jakby on sam był słońcem, a ona biegła wprost ku niemu.*

*Wchodząc coraz wyżej, czuła, jak gorąc rośnie z każdą chwilą. Im bliżej była, tym trudniej było jej zaczerpnąć tchu. Ojciec zaś stał z otwartymi ramionami i czekał, by wziąć ją w objęcia.*

*Ale wzgórze stało się zbyt strome, a ona była po prostu już bardzo zmęczona. Nie mogła zrobić kolejnego kroku i osunęła się na ziemię tam, gdzie stała.*

*Zamrugnęła powiekami, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła swego ojca stojącego nad nią, pochylonego, z ciepłym uśmiechem*

na twarzy.

– Caitlin – powiedział. – Córkó moja. Jestem z ciebie taki dumny.

Spróbowała wyciągnąć dłoń i chwycić go, ale klucz spoczywał teraz na niej i był zbyt ciężki, przygniatał ją do ziemi.

Podniosła wzrok na ojca, próbując przemówić, lecz jej usta były spierzchnięte, a gardło zbyt suche.

– Caitlin?

– Caitlin?

Poderwała się ze snu, całkiem zdezorientowana.

Podniosła wzrok i zauważyła mężczyznę siedzącego przy jej łóżku, spoglądającego w dół na nią i uśmiechającego się do niej.

Wyciągnął rękę i delikatnie odsunął jej włosy z oczu.

Czy to nadal był sen? Czuła zimny pot na czole, jego dotyk na swoim nadgarstku i modliła się, żeby to jednak nie był sen.

Ponieważ ujrzała przed sobą, uśmiechającego się do niej, miłość swego życia.

Caleba.

# ROZDZIAŁ TRZECI

Sam poderwał się ze snu. Przed oczami miał niebo i pień ogromnego dębu. Zamrugał powiekami, zastanawiając się, gdzie jest.

Czuł coś miękkiego pod plecami, coś, dzięki czemu było mu bardzo wygodnie. Obejrzał się i zorientował, że leżał na kępie mchu, na leśnej wyściółce. Podniósł wzrok ponownie i dostrzegł dziesiątki wysokich drzew kołyszących się na wietrze. Usłyszał szum wody, a kiedy się odwrócił, zobaczył strumyk powoli płynący kilka stóp od jego głowy.

Usiadł i rozejrzał się wokół, spoglądając we wszystkie strony i chłonąc każdy szczegół otoczenia. Znajdował się w gęstym lesie, był sam, a jedynym źródłem światła były promienie słoneczne przedzierające się przez konary drzew. Popatrzył na siebie i zobaczył, że wciąż miał ten sam bitewny strój, który założył w Koloseum. Wokół panowała cisza, zakłócana jedynie odgłosami strumyka, ptaków i jakichś zwierząt w oddali.

Zdał sobie sprawę, że podróż w czasie na szczęście się udała. Najwyraźniej był w innym miejscu i czasie – chociaż nie miał pojęcia ani gdzie, ani kiedy.

Powoli zbadał całe ciało i stwierdził, że nie odniósł większych obrażeń i że był w jednym kawałku. Poczuł okropny głód, ale mógł z tym jeszcze poczekać. Najpierw musiał zorientować się, gdzie jest.

Sięgnął rękoma w dół, chcąc sprawdzić, czy ma przy sobie jakąś broń.

Niestety, nic nie przetrwało podróży w czasie. Mógł znowu polegać tylko na sobie, a jego jedynymi narzędziami były gołe dłonie.

Zaczął zastanawiać się, czy nadal ma w sobie wampirze moce. Wyczuwał niezwykłą siłę krążącą w żyłach i miał wrażenie, że nadal je posiada. Jednakże, nie mógł do samego końca być pewien.

A koniec nadszedł wcześniej, niż przypuszczał.

Usłyszał trzask gałęzi, odwrócił się i ujrzał wielkiego niedźwiedzia sunącego niezdarnie w jego stronę, powoli, wyzywająco. Znieruchomiał. Zwierzę łapało na niego spoode łba, obnażyło kły i zaryczało.

W następnej sekundzie rzuciło się do biegu, nacierając bezpośrednio na Sama.

Sam ani nie miał już czasu na ucieczkę, ani też, dokąd uciekać. Nie miał wyboru. Zdał sobie sprawę, że mógł jedynie zmierzyć się ze zwierzęciem.

Co dziwne, zamiast strachu, poczuł gniew, szal, który zawładnął całym jego ciałem. Był wściekły na zwierzę. Nie podobało mu się, kiedy ktoś atakował go zanim zdołał chociażby ogarnąć się trochę. Dlatego też rzucił się również na niedźwiedzia bez namysłu, gotowy stoczyć z nim walkę w ten sam sposób, w jaki rozprawiłby się z człowiekiem.

Starli się w połowie drogi. Niedźwiedź rzucił się do przodu,

Sam wycofał się gwałtownie. Czuł moc krążącą w żyłach, czuł, jak podpowiadała mu, że jest niezwyciężony.

Kiedy startł się z niedźwiedziem w powietrzu, zrozumiał, że miał rację. Chwycił niedźwiedzie łapy, zamachnął się i cisnął zwierzę w powietrze. Niedźwiedź poleciał w tył między drzewami kilkanaście stóp i grzmotnął o drzewo.

Stojąc w miejscu, Sam zaryczał dziko, głośniejszy nawet od niedźwiedzia. Poczuł, jak jednocześnie napęcznieły mu mięśnie i żyły.

Zwierz wstał powoli na nogi i chwiejąc się, spojrzał na Sama z wyrazem szoku. Zaczął kuśtykać, a po kilku niepewnych krokach odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Lecz Sam nie miał zamiaru tak łatwo go puścić. Był wściekły i czuł, że nic w świecie nie byłoby w stanie ostudzić jego gniewu. Był też głodny. Niedźwiedź musiał dostać za swoje.

Zerwał się do biegu i wkrótce z zadowoleniem zauważył, że był szybszy od zwierzęcia. W kilka chwil dogonił go, skoczył w powietrze i wylądował na jego grzbiecie. Nachylił się, po czym zatopił kły głęboko w jego karku.

Niedźwiedź zawył z bólu, zaczął rzucać się na wszystkie strony, ale Sam nie puścił. Zatopił kły jeszcze głębiej i po chwili poczuł, jak niedźwiedź osunął się pod nim na kolana. W końcu przestał się poruszać.

Sam leżał na nim, pijąc, czując, jak życiodajna siła zaczyna krążyć w jego żyłach.

W końcu odchylił się i oblizał usta, po których ściekała krew.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak orzeźwiony. Dokładnie takiego posiłku było mu trzeba.

Wstawał właśnie na nogi, kiedy usłyszał kolejny trzask gałązki.

Obejrzał się i zobaczył stojącą nieopodal na polanie, młodą dziewczynę, na oko siedemnastoletnią, ubraną w cienki, biały materiał. Stała tak, trzymając kosz, i wpatrywała się w Sama zszokowana. Jej skóra była biała i półprzezroczysta, a jej długie, jasne włosy oplatały twarz o wielkich, błękitnych oczach. Była piękna.

Patrzyła na Sama równie jak on zaskoczona.

Zdał sobie sprawę, że musiała bać się, że i ją zaatakuje; Uświadomił sobie, jak paskudnie musiał wyglądać, leżąc na niedźwiedziu, z krwią na ustach. Nie chciał jej wystraszyć.

Zeskoczył zatem ze zwierzęcia i podszedł do niej kilka kroków.

Ku jego zdziwieniu, dziewczyna ani wzdrygnęła się ani też nie próbowała uciekać. Raczej nadal mu się przyglądała, bez jakiegokolwiek obawy.

– Nie martw się – powiedział. – Nie zrobię ci nic złego.

Uśmiechnęła się. Czym go zadziwiła. Nie tylko była piękna, ale również rzeczywiście się go nie bała. Jak to w ogóle było możliwe?

– Oczywiście, że nie – odparła. – Jesteś jednym z nas.

Sama znów ogarnęło zdziwienie. Jednak już w chwili, kiedy to powiedziała, wiedział, że to prawda. Wyczuł coś, kiedy tylko

ją zobaczyć, a teraz zrozumiał całą resztę. Była taka, jak on. Była wampirem. I dlatego nie było w niej lęku.

– Niezły chwyt – powiedziała, wskazując na niedźwiedzia. – Nicco niechlujny, prawda? Dlaczego nie zapolować na jelenia?

Sam uśmiechnął się. Nie tylko była piękna – do tego jeszcze zabawna.

– Może następnym razem tak zrobię – odparł.

Uśmiechnęła się.

– Czy mogłabyś powiedzieć mi, który jest rok? – zapytał. – Albo przynajmniej wiek?

Dziewczyna uśmiechała się tylko, potrząsając głową.

– Myślę, że najlepiej będzie, jak sam się tego dowiesz. Gdybym ci powiedziała, zepsułabym całą zabawę, nie sądzisz?

Spodobała się mu. Była seksowna. I czuł się swobodnie w jej towarzystwie, jakby znał ją od zawsze.

Podeszła bliżej i wyciągnęła dłoń. Sam chwycił ją i zakochał się w jej gładkiej, przezroczystej skórze.

– Jestem Sam – powiedział, potrząsając dłonią, trzymając ją nieco za długo.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Wiem – powiedziała.

Sam był skonsternowany. Skąd niby mogła to wiedzieć? Czy spotkali się już gdzieś wcześniej? Nie mógł sobie przypomnieć.

– Wyślano mnie po ciebie – dodała.

Nagle odwróciła się i zaczęła iść leśnym szlakiem.

Sam ruszył za nią, chcąc ją dogonić, przypuszczając, że



właśnie tego od niego oczekiwała. Nie patrząc pod nogi szedł za nią i wkrótce potknął się o gałąź. I usłyszał jej chichot.

– A więc? – powiedział zachęcającym tonem. – Nie powiesz mi swego imienia?

Znów zachichotała.

– Cóż, mam oficjalne imię, ale rzadko je używam – odparła.

Po czym odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem, czekając, aż się z nią zrówna.

– Jeśli już musisz wiedzieć, wszyscy wołają na mnie Polly.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

Caleb przytrzymał ogromne, średniowieczne drzwi i Caitlin wyszła z opactwa, stawiając pierwsze kroki we wczesnym, porannym słońcu. Mając Caleba u boku, spojrzała w kierunku, gdzie wstawał właśnie świt. Tu, wysoko na szczycie wzgórza Montmartre mogła rozejrzeć się i zobaczyć cały, rozpościerający się przed nią Paryż. To piękne rozległe miasto było mieszaniną klasycznej architektury i zwyczajnych domostw, brukowanych ulic i polnych dróg, terenów zalesionych i miejskich. Niebo mieniło się setkami kolorów sprawiając, że miasto wyglądało jak żywe. Było cudowne.

Jeszcze cudowniejsza była dłoń, która objęła jej dłoń. Obejrzała się i zobaczyła stojącego obok niej Caleba, który również rozkoszował się widokiem. Nie mogła uwierzyć, że to działa się naprawdę. Nie mogła uwierzyć, że to rzeczywiście był on, że naprawdę byli tu razem oboje. Że wiedział, kim ona jest. Że pamiętał ją. Że ją znalazł.

Kolejny raz zaczęła zastanawiać się, czy aby na pewno zbudziła się już ze snu, czy aby wciąż nie spała.

Stojąc tak, poczuła jak ścisnął jej dłoń jeszcze mocniej. Wiedziała już, że była w pełni przebudzona. Nigdy jeszcze nie była tak niezmiernie szczęśliwa. Tak długo brnęła, cofnęła się w czasie o całe stulecia, przebyła całą tę drogę tylko po to, by z nim być. Tylko po to, by upewnić się, że żyje. Kiedy we Włoszech

stwierdził, że jej nie pamięta, zdruzgotało ją to doszczętnie.

Teraz jednak, kiedy już tu był, cały i żywy i ją pamiętał – i należał tylko do niej, sam, bez Sery w pobliżu – jej serce wzbierało nowym uczuciem i nową nadzieją. Nigdy, w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że wszystko tak idealnie się ułoży, że *rzeczywiście* tak będzie. Była taka wzruszona. Nie wiedziała, od czego zacząć lub co powiedzieć.

Caleb odezwał się zanim zdążyła przemówić.

– Paryż – powiedział, odwracając się do niej z uśmiechem na ustach. – Z pewnością jedno z piękniejszych miejsc, by spędzić wspólne chwile.

Uśmiechnęła się.

– Całe życie pragnęłam je zobaczyć – odparła.

Chciała dodać *z kimś, kogo kocham*, ale się powstrzymała. Miała wrażenie, że upłynęło dużo czasu, od kiedy ostatni raz była u jego boku, że w zasadzie znów zaczął ją onieśmielać. Pod niektórymi względami czuła, jakby spędziła z nim całą wieczność – a nawet dłużej – jednak z drugiej strony odnosiła wrażenie, jakby znowu spotykała go po raz pierwszy.

Wyciągnął rękę dłonią skierowaną ku górze.

– Zechcesz zwiedzić je razem ze mną? – spytał.

– To długa droga w dół – powiedziała, spoglądając w dół stromego wzgórza, wiele mil spadzistej nawierzchni prowadzącej do Paryża.

– Myślałam raczej o bardziej widokowym rozwiązaniu – odparł. – Polecimy.

Rozsunęła łopatki, chcąc sprawdzić, czy jej skrzydła się rozwinią. Czuła się odmłodzona, taka ożywiona po tym napoju, po białej krwi – ale wciąż nie była pewna, czy może latać. A nie była skora, by rzucić się z wysokości w nadziei, że jej skrzydła złapią wiatr.

– Sądzę, że nie jestem jeszcze na to gotowa – powiedziała.

Spojrzał na nią ze zrozumieniem.

– Polec ze mną – powiedział i dodał z uśmiechem – jak za starych czasów.

Uśmiechnęła się, podeszła do niego od tyłu i objęła jego ramiona. Tak miło było poczuć jego muskularne ciało.

Nagle wzbił się w powietrze tak szybko, że ledwie zdążyła przytrzymać się go.

Zanim zdążyła się zorientować, już lecieli, ona trzymając się jego, opierając głowę na jego łopatce. Przeszył ją znajomy dreszczyk, kiedy mknęli w dół, nisko nad powierzchnią miasta o wschodzie słońca. Aż zaparło jej dech w piersiach.

Nic z tego jednak nie było aż tak oszałamiające jak to, że znów była w jego ramionach, obejmowała go, po prostu z nim była. Upłynęła zaledwie godzina, a ona już zaczęła się modlić, by nigdy więcej się nie rozstali.

\*

Paryż, nad którym lecieli, ten z tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku, na wiele sposobów

przypominał Paryż, który widziała na obrazkach w dwudziestym pierwszym wieku. Rozpoznawała wiele budynków, kościoły, iglice, pomniki. Mimo, że miały już setki lat, wyglądały niemal dokładnie tak samo jak w dwudziestym pierwszym wieku. Podobnie jak w przypadku Wenecji i Florencji, niewiele się zmieniło przez tych kilkaset lat.

Jednak pod niektórymi względami różnił się i to znacznie. Nie był tak rozbudowany. Choć niektóre drogi były brukowane, było też wiele zwykłych, przypominających polne. Nawet w przybliżeniu nie był tak zagęszczony, a między budynkami widniały kępy drzew, jakby miasto zbudowano w lesie. Zamiast samochodów, po ulicach poruszały się konie i powozy, ludzie spacerowali lub pchali fury. Wszystkiemu towarzyszył większy spokój, większa swoboda.

Caleb zniżył lot tak, że lecieli kilka stóp nad budynkami. Kiedy minęli ostatni, nagle niebo otworzyło się przed nimi i ujrzeli rzekę Sekwanę, przepływającą przez sam środek miasta. Mieniła się żółto we wczesnym, porannym słońcu. Caitlin zaparło dech w piersi.

Caleb ponownie zanurkował w powietrzu, a Caitlin nie mogła wyjść z podziwu dla piękna tego miasta, jego romantycznej aury. Przelecieli nad niewielką wyspą Ile de la Cite i Caitlin rozpoznała leżącą poniżej katedrę Notre Dame, jej ogromna iglicę wznoszącą się wysoko ponad wszystko inne.

Caleb zniżył lot jeszcze bardziej, szybując tuż nad powierzchnią wody. Wilgotne powietrze utrzymujące się nad

rzeką schłodziło ich ciała w ten gorący lipcowy poranek. Caitlin rozglądała się, kiedy przelatywali nad i pod rozlicznymi, niewielkimi, łukiem zwieńczonymi mostkami spinającymi obydwie brzozy rzeki. W pewnej chwili Caleb podleciał ku jednemu z nich i wylądował łagodnie za wielkim drzewem, z dala od spojrzeń jakichkolwiek przechodniów.

Rozejrzała się i zauważyła, że zabrał ją do ogromnego, wytworzonego parku z ogrodem, który zdawał się rozpościerać na dziesiątki mil tuż przy brzozy rzeki.

– Tuilerie – powiedział Caleb. – Dokładnie takie samo, jak w dwudziestym pierwszym wieku. Nic się nie zmieniło. Nadal najbardziej romantyczne miejsce w Paryżu.

Wyciągnął rękę z uśmiechem i chwycił jej dłoń. Zaczęli iść niespiesznie jedną ze ścieżek wijących się przez cały ogród. Nigdy jeszcze nie była taka szczęśliwa.

Tak bardzo paliła się, by spytać go o tyle rzeczy. Nie mogła doczekać się, by powiedzieć mu wszystko. I nie wiedziała, od czego zacząć. Ale od czegoś musiała, więc pomyślała, że wspomni o tym, co ostatnio przyszło jej na myśl.

– Dziękuję – powiedziała – za to, co zrobiłeś w Rzymie. W Koloseum. Za uratowanie mi życia. Gdybyś nie pojawił się w tamtej chwili, nie wiem, co mogłoby się stać.

Odwróciła się i spojrzała na niego, nagle zdjęta niepewnością.

– Pamiętasz? – spytała z niepokojem.

Zwrócił się w jej stronę, spojrzał na nią i skinął głową. Wiedziała, że pamiętał. Poczwała ulgę. Przynajmniej, wreszcie

zgadzali się co do tego. Ich wspomnienia powróciły. I samo to znaczyło dla niej najwięcej na całym świecie.

– Ale przecież to nie ja ciebie uratowałem – powiedział. – Sama dałaś sobie radę beze mnie i to całkiem nieźle. A nawet przeciwnie, to ty ocaliłaś mnie. Już sama twoja obecność – nie wiem, co bym zrobił bez ciebie.

Kiedy ścisnął jej dłoń, poczuła, jak jej świat odżył w niej na nowo.

Przechadzając się po ogrodzie, przyglądała się z zachwytem różnorodnym kwiatom, fontannom, posagom... Było to jedno z najbardziej romantycznych miejsc, w jakich była.

– I przepraszam – dodała.

Spojrzał na nią, a ona bała się to powiedzieć.

– Za twojego syna.

Jego twarz pociemniała, a kiedy odwrócił wzrok, zobaczyła, jak przemknął po niej wyraz głębokiego smutku.

*Ale głupia, pomyślała. Dlaczego zawsze musisz wszystko zepsuć? Dlaczego nie mogłaś zaczekać z tym do jakiejś innej okazji?*

Caleb przełknął i skinął głową, owładnięty zbyt wielkim smutkiem, by cokolwiek powiedzieć.

– I przepraszam za Serę – dodała Caitlin. – Nigdy nie zamierzałam stawać między wami.

– Nie przejmuj się – odparł. – Nie miałaś z tym nic wspólnego. To dotyczyło jedynie jej i mnie. Nigdy nie mieliśmy być razem. Od samego początku była to zła decyzja.

– Cóż, chciałabym też wreszcie powiedzieć ci, że przykro mi z powodu tego, co stało się w Nowym Jorku – dodała, czując ulgę, że w końcu wyrzuciła to z siebie. – Nigdy nie wbiłabym miecza, gdybym wiedziała, że to ty. Przysięgam. Myślałam, że to kto inny, że zmienił kształt. Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że to naprawdę ty.

Poczuła rozdzierający ból na samą myśl o tym.

Zatrzymał się, spojrział na nią i chwycił ją w ramiona.

– Nic z tego nie ma już znaczenia – powiedział szczerze. – Cofnęłaś się w czasie, by mnie ocalić. I wiem, że zrobiłaś to ogromnym kosztem. Mogło wcale się nie udać. A ty poświęciłaś dla mnie swoje życie. I dla mnie porzuciłaś nasze dziecko – powiedział i znów spuścił wzrok w przypiływie smutku. – Kocham cię bardziej, niż mógłbym to wyrazić – powiedział ze wzrokiem wciąż utkwionym w ziemi.

Spojrzał na nią oczyma pełnymi łez.

I wówczas pocałowali się. Czuła, jak topnieje w jego ramionach, jak jej cały świat ogarnia spokój, a ich pocałunek trwał zdawałoby się wieczność. Była to najwspanialsza ze wszystkich chwil, które z nim spędziła, i w jakiejś mierze miała wrażenie, że dopiero teraz zaczęła tak naprawdę go poznawać.

W końcu odsunęli się powoli, spoglądając sobie głęboko w oczy.

Potem oboje odwrócili wzrok, niby ze skromności, chwycili się za ręce i ruszyli dalej, spacerując ogrodem wzdłuż rzeki. Patrzyła na piękno Paryża, na jego romantyzm i zdała sobie



sprawę, że właśnie spełniały się jej wszystkie marzenia. Tego właśnie zawsze chciała od życia. Być z kimś, kto ją kocha – kto naprawdę darzy ją miłością. Być w tak pięknym mieście, tak romantycznym miejscu. Czuć, jakby miała przed sobą całe życie.

Wyczuła w kieszeni wysadzane klejnotami puzderko i ogarnęło ją niezadowolenie. Nie chciała go otwierać. Bardzo kochała ojca, ale nie chciała czytać listu od niego. Wiedziała już, że nie chce ciągnąć dalej swojej misji. Nie chciała ryzykować kolejnej podróży w czasie, ani też szukać jakichkolwiek kluczy. Chciała jedynie być tu, w tym miejscu i czasie, razem z Calebem. Chciała spokoju. Żadnych zmian. Była zdecydowana uczynić wszystko, by strzec ich drogocennych wspólnych chwil, by rzeczywiście zatrzymać ich przy sobie. I czuła po części, że oznaczało to zaniechanie kontynuowania jej misji.

Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. Była podenerwowana, ale czuła, że musiała mu o tym powiedzieć.

– Caleb – powiedziała. – Nie chcę już więcej szukać. Zdaję sobie sprawę, że mam wyjątkową misję do spełnienia, że muszę pomóc innym, że muszę odszukać Tarczę. I że może to, co powiem zabrzmie egoistycznie. Wybacz, jeśli tak będzie. Ale chcę tylko być z tobą. Tylko to się dla mnie teraz liczy. Pozostać w tych czasach, w tym miejscu. Przeczuję, że jeśli dalej będziemy szukać, skończymy w innym stuleciu i innym miejscu. I że następnym razem możemy nie być już razem... Przerwała, uświadomiwszy sobie, że płacze.

Odetchnęła głęboko w otaczającej ciszy. Zastanawiała się, co

on teraz o niej myślał. Miała nadzieję, że nie potępią jej za to.

– Potrafisz to zrozumieć? – zapytała niepewnie.

Wpatrywał się w horyzont, jakby z niepokojem, po czym w końcu odwrócił się i spojrzał na nią. Teraz ona poczuła zaniepokojenie.

– Nie chcę czytać listu od mojego taty, ani znajdować kolejnych wskazówek. Pragnę jedynie, abyśmy byli razem. Chcę, by wszystko pozostało takie, jakie jest w tej chwili. Nie chcę żadnych zmian. Mam nadzieję, że mnie za to nie znienawidzisz.

– Nigdy bym cię nie znienawidził – powiedział cicho.

– Ale nie popierasz tego? – naciskała. – Sądzisz, że powinnam kontynuować misję?

Odwrócił wzrok. Nic nie powiedział.

– O co chodzi? – spytała. – Martwisz się o innych?

– Myślę, że powinienem – odparł. – I tak jest. Ale ja również kieruję się egoistycznymi pobudkami. Wydaje mi się... gdzieś w zakamarkach umysłu wciąż mam nadzieję, że jeśli znajdziemy Tarczę, to w jakiś sposób zwróci mi syna. Jade'a.

Caitlin ogarnęło okropne poczucie winy, kiedy uświadomiła sobie, że przyrównał jej rezygnację z misji z rozstaniem się z synem już na wieczność.

– Ale nie o to w tym chodzi – powiedziała. – Nie wiemy, czy jeśli odnajdziemy Tarczę, jeśli ona w ogóle istnieje, to czy zwróci ci to syna. Wiemy natomiast, że jeśli nie będziemy szukali, będziemy mieli ten czas dla siebie. Tu chodzi o nas. Tylko to się dla mnie liczy. Zawahała się przez moment. – Czy i tobie na tym

tak zależy?

Spojrzał na horyzont i skinął głową. Na nią jednak nie popatrzył.

– A może kochasz mnie tylko dlatego, że mogę pomóc ci odszukać Tarczę? – spytała.

Zaszokowała samą siebie. Że też miała odwagę wymówić to pytanie. Pytanie, które prześladowało ją od momentu, kiedy pierwszy raz się spotkali. Czy kochał ją tylko dlatego, że mogła go gdzieś doprowadzić? Czy może kochał ją dla *niej samej*? I teraz, nareszcie, wydusiła je z siebie.

Serce waliło jej mocno w oczekiwaniu na odpowiedź.

W końcu odwrócił się i utkwiał wzrok głęboko w jej oczach. Podniósł dłoń i powoli pogłaskał ją po policzku.

– Kocham cię dla ciebie samej – powiedział. – Od zawsze. A jeśli bycie z tobą oznacza rezygnację z poszukiwań Tarczy, to właśnie tak postąpię. Ja również chcę być z tobą. Owszem, chcę jej szukać. Ale teraz to ty jesteś dla mnie najważniejsza.

Caitlin uśmiechnęła się. Poczuła w sercu coś, czego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Czuła spokój, stabilizację. Nic nie mogło stanąć im teraz na drodze.

Odsunął włosy z jej twarzy i uśmiechnął się.

– Zabawne – powiedział. – Mieszkałem tu już kiedyś. Wieki temu. Nie w Paryżu. Na wsi. W niewielkim zamku. Nie wiem, czy nadal tam stoi, ale możemy sprawdzić.

Uśmiechnęła się, a Caleb nagle podźwignął ją na plecy i wzbił się powietrze. Po chwili lecieli już wysoko nad Paryżem, kierując

się poza miasto, w poszukiwaniu jego domu.

*Ich domu.*

Caitlin nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

Sam z trudem dotrzymywał tempa Polly. Mówiła tak szybko, nieustannie przeskakując z jednej myśli do drugiej. Wciąż był oszołomiony po podróży w czasie. Odurzony tym miejscem – musiał wszystko przemyśleć.

Ale szli już tak od pół godziny, on wciąż potykał się o kolejne gałęzie, spiesząc za nią idącą przez las dziarskim krokiem, a ona ani na chwilę nie przestawała mówić. Ledwie zdołał wtrącić jakieś słowo. Wciąż mówiła i mówiła – o pałacu i o dworze, o członkach jej klanu, o nadchodzącym koncercie i kimś o imieniu Aiden. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ani też dlaczego go szukała, czy choćby dokąd prowadziła. Postanowił poznać kilka odpowiedzi.

– ... oczywiście nie są to tylko tańce – kontynuowała Polly – ale mimo to i tak będzie to zadziwiające wydarzenie. Ale nie jestem pewna, co założyć na siebie. Jest tyle różnych możliwości, a nic wystarczająco dobrego na tak oficjalną okoliczność–

– *Proszę!* – powiedział w końcu Sam do podskakującej beztrasko po lesie Polly. – Wybacz, że się wtrącam, ale mam do ciebie kilka pytań. I proszę. Muszę znać odpowiedzi.

W końcu umilkła, a on odetchnął z ulgą. Spojrzała na niego z pewnym zdziwieniem, jakby w ogóle nie była świadoma tego, że przez ten cały czas mówiła.

– Musisz jedynie zapytać! – powiedziała radośnie. Po czym

dodała ze zniecierpliwieniem, jeszcze za nim zdążył zareagować – Więc? O co chodzi?

– Powiedziałaś, że zostałaś po mnie wysłana – powiedział Sam. – Przez kogo?

– To proste – odparła. – Przez Aideną.

– A kim on jest? – spytał Sam.

Zarżała. – Ojej, musisz się jeszcze wiele dowiedzieć, nieprawdaż? Aiden jest mentorem naszego klanu od tysięcy lat. Nie jestem pewna, dlaczego zainteresował się akurat tobą, ani też dlaczego wysłał mnie w ten piękny dzień, bym włóczyła się po lesie, szukając ciebie. Na moje, sam w końcu odnalazłbyś drogę. Nie wspominając już o tym, że miałam tysiące własnych spraw na głowie, łącznie z rozglądaniem się za nową sukienką i–

– Proszę – powiedział Sam, starając się pamiętać, o co chciał ją zapytać, zanim znów wyleci mu z głowy. – Naprawdę doceniam to, że po mnie przyszedł i w ogóle. Nie chcę być niegrzeczny, ale dokądkolwiek idziemy, naprawdę nie mam na to czasu. Zrozum, cofnąłem się w czasie, przybyłem tu z konkretnego powodu. Muszę pomóc swojej siostrze. Muszę ją odszukać – i nie mam czasu na jakieś wycieczki.

– Cóż, nie nazwałabym tego wycieczką – powiedziała Polly. – Aiden cieszy się największym zainteresowaniem na dworze. Jeśli zainteresował się tobą, to nie należy tego lekceważyć. I kimkolwiek jest osoba, której szukasz, jeśli ktokolwiek może wskazać ci do niej drogę, to z pewnością będzie to Aiden.

– W takim razie gdzie idziemy? I jak daleko jeszcze?

Zrobiła jeszcze kilka kroków w leśnej gęstwinie, a on pospieszył za nią, chcąc ją dogonić i zastanawiając się, czy w ogóle zareaguje, czy da mu jakąś prostą odpowiedź – kiedy nagle las skończył się.

Zatrzymała się, a on obok niej, zdumiony.

Przed nimi rozpościerała się ogromna, otwarta przestrzeń, u której krańców, w oddali, widniały wspaniałe, wytworne ogrody z trawą przyciętą do wymyślnych kształtów i rozmiarów. Były piękne niczym żywe dzieło sztuki.

A jeszcze bardziej oszałamiające było to, co leżało za ogrodami. Pałac okazalszy od wszelkich budowli, jakie Sam kiedykolwiek widział. Cały budynek był zbudowany z marmuru i rozciągał się we wszystkie strony, daleko, jak okiem sięgnąć. Zbudowany według klasycznego, formalnego projektu, miał dziesiątki potężnych okien i szerokie, marmurowe schody wiodące do jego wejścia. Sam wiedział, że gdzieś już widział ilustracje tej budowli, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie.

– Wersal – powiedziała Polly, jakby czytała w jego myślach.

Spojrzał na nią, a ona uśmiechnęła się do niego.

– To tu mieszkamy. Jesteś we Francji, w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. I jestem pewna, że Aiden zgodzi się, abyś przyłączył się do naszego klanu, zakładając, że Maria na to pozwoli.

Sam spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Maria? – spytał.

Uśmiechnęła się szerzej, potrząsając głową. Odwróciła się i

w podskokach ruszyła w kierunku pałacu. W tej samej chwili zawołała ponad ramieniem.

– Maria Antonina oczywiście!

\*

Szedł u boku Polly, wspinając się po nieskończonych marmurowych schodach do pałacu. Jednocześnie chłonał otaczające go widoki. Rozmiar i proporcje tego miejsca wprawiały w osłupienie. Wokół przechadzali się ludzie, którzy w jego mniemaniu należeli do królewskiej rodziny, ubrani w jedne z najwspanialszych strojów, jakie widział. Nie mógł wyjść z podziwu. Gdyby ktoś powiedział mu teraz, że śnił, z łatwością by mu uwierzył. Nigdy jeszcze nie był w kręgach rodziny królewskiej.

Polly nie przestawała mówić, a Sam starał skupić się na jej słowach. Lubił być przy niej, czerpał przyjemność z jej towarzystwa, nawet jeśli tak trudno było uważać na to, co mówiła. Uważał również, że była śliczna. Ale było w niej jeszcze coś, co sprawiało, że nie był pewien, czy rzeczywiście zadurzył się w niej, czy tylko polubił ją jak przyjaciela. W przypadku jego byłych dziewczyn, zawsze było to pożądanie od pierwszego wejrzenia. Z Polly przypominało to raczej koleżeństwo.

– Jak widzisz, mieszka tu rodzina królewska, ale i my również. Pożyczają naszej obecności. Jesteśmy w zasadzie ich najlepszą ochroną, jaką mają. Żyjemy ze sobą w czymś, co można by



nazwać harmonią. I wzajemnie na tym korzystamy. Możemy bez ograniczeń polować w tym przepastnym lesie, mieszkać we wspianym miejscu i towarzystwie. W zamian chronimy królewską rodzinę. Nie wspominając już o tym, że niektórzy jej członkowie i tak należą do naszego rodzaju.

Sam spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Maria Antonina? – spytał.

Polly skinęła nieznacznie, jakby chciała zachować to w tajemnicy, ale nie mogła się oprzeć.

– Ale nie mów nikomu – powiedziała. Kilka innych osób również. Jednak większość rodziny królewskiej pozostaje ludźmi. Chętnie wstąpiliby w nasze szeregi, ale istnieją tu surowe zasady i jest to zabronione. Jesteśmy my i oni i nie wolno nam przekroczyć tej linii. Nie chcemy też, by niektórzy członkowie rodziny królewskiej zdobyli zbyt dużą władzę. Maria również na to nalega.

– W każdym razie, jest to po prostu najwspanialsze miejsce pod słońcem. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, że kiedykolwiek mogłoby przestać istnieć. Co chwilę odbywają się tu przyjęcia, tańce, bale, koncerty... A najwspanialszy będzie już w tym tygodniu. W zasadzie będzie to opera. I mam już wybrany strój.

Kiedy zbliżyli się do drzwi, kilka sług podbiegło, by je przed nimi otworzyć. Złote wrota były masywne i kiedy przez nie wchodzili, Sam patrzył oniemiały z wrażenia.

Polly pomaszerowała wprost wielkim, marmurowym

korytarzem, jakby całe to miejsce należało do niej. Sam popędził za nią, chcąc dotrzymać jej kroku. Rozglądał się wokół, nie mogąc nadziwić się temu przepychowi. Szli niezliczonymi, marmurowymi korytarzami z wielkimi, nisko zawieszonymi, kryształowymi żyrandolami odbijającymi światło dziesiątek połączanych luster. Słoneczne światło wlewało się do środka i rozpraszało po całym wnętrzu.

Przechodzili przez kolejne drzwi, aż w końcu weszli do ogromnego salonu z marmuru, z kolumnami stojącymi dookoła. Kiedy Polly weszła, kilku strażników stanęło na baczność.

Polly zachichotała jedynie, najwidoczniej obojętna na ich zachowanie.

– I możemy tu również trenować – dodała. – Mają najlepszą bazę treningową. A Aiden każe nam ściśle przestrzegać harmonogramu. Jestem zaskoczona, że pozwolił mi przerwać ćwiczenia i kazał pójść po ciebie. Musisz być ważny.

– Więc, gdzie on jest? – spytał Sam. – Kiedy będę mógł go poznać?

– Ojej, ale jesteś niecierpliwy, co? Jest bardzo zajęty. Może nawet nie chceć spotkać się z tobą przez jakiś czas. Ale może też wezwać cię do siebie od razu. Nie martw się. Będziesz wiedział, kiedy zechce się z tobą zobaczyć. Bądź cierpliwy. W międzyczasie, poproszono mnie, abym odprowadziła cię do twojego pokoju.

– Mojego pokoju? – spytał Sam ze zdziwieniem. – Chwileczkę. Nie powiedziałem, że tu zostanę. Jak już

wspomniałem, naprawdę muszę odszukać siostrę – zaczął protestować, ale w tej samej chwili otworzyły się przed nim ogromne dwuskrzydłowe drzwi.

Do sali weszła nagle królewska świta, otaczając kobietę niesioną na królewskim tronie.

Opuszczono ją na dół. Polly ukloniła się nisko i skinęła na Sama, by zrobił to samo. I zrobił.

Kobieta, która mogła być jedynie Marią Antoniną, zeszła powoli z podwyższenia, podeszła kilka kroków w ich kierunku i zatrzymała się tuż przed Samem, dając mu znak, by powstał.

Obrzuciła Sama spojrzeniem od stóp do głów, jakby był jakimś przedmiotem zainteresowania.

– A więc, to ty jesteś tym nowym chłopcem – powiedziała z kamiennym wyrazem twarzy. Jej zielone oczy płonęły z siłą, jakiej jeszcze nigdy nie widział i rzeczywiście wyczuł, że była jedną z nich.

W końcu, po chwili zdającej się trwać wieczność, skinęła głową.

– Interesujące.

To powiedziawszy, przeszła obok nich, a jej świta ruszyła za nią.

Jedna osoba jednak pozostała w miejscu, najwyraźniej członkini rodziny królewskiej. Wyglądała na siedemnaście lat i miała na sobie królewską, błękitną, aksamitną suknię, zakrywającą ją od stóp do głów. Miała najjaśniejszą skórę, jaką Sam kiedykolwiek widział, zestawioną z długimi, kędzierzawymi

blond włosami i świdrującymi, niebieskimi oczyma. Skupiła się na Samie, utkwivszy wzrok w jego oczach.

Jej spojrzenie sprawiło, że poczuł się bezradny. Nie był w stanie odwrócić od niej oczu.

Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział.

Po kilku sekundach podeszła o krok i zajrzała mu w oczy jeszcze głębiej. Wysunęła rękę do przodu, dłonią w dół, najwyraźniej oczekując, że ją ucałuje. Poruszała się powoli, dumnie.

Sam chwycił jej dłoń i poczuł dreszcz, kiedy dotknął jej skóry. Przyciągnął koniuszki palców do siebie i złożył pocałunek.

– Polly? – powiedziała dziewczyna. – Nie przedstawisz nas sobie?

Nie było to pytanie. Raczej polecenie.

Polly odchrząknęła, jakby z ociąganiem.

– Kendro, to Sam – powiedziała. – Samie, to Kendra.

Kendra, pomyślał Sam, gapiąc się w jej oczy, zbity z tropu jej nachalnym spojrzeniem, jakby już był jej własnością.

– Sam – powtórzyła niczym echo. – Nieco zwyczajnie. Ale podoba mi się.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kyle przebił się przez kamienny sarkofag jednym uderzeniem pięści, a kamień rozpadł się na wiele kawałków. Wyszedł ze stojącej trumny, gotowy do działania.

Obrócił się na pięcie i rozejrzał wokół, zdecydowany zaatakować każdego, kto się zbliży. W zasadzie miał nawet nadzieję, że nadarzy się ktoś, z kim będzie mógł walczyć. Ta cała podróż w czasie była wyjątkowo nieznośna i chętnie wyładowałby na kimś swój gniew.

Kiedy jednak się rozejrzał, zauważył, ku swemu rozczarowaniu, że komnata była pusta. Był sam.

Jego gniew powoli zelżał. Przynajmniej wyładował w odpowiednim miejscu. Wyczuwał też, że i czasy się zgadzały. Wiedział, że był bardziej wytrawnym podróżnikiem w czasie niż Caitlin i potrafił dokładniej zlokalizować miejsce i czas swego przybycia. Rozejrzał się wokół i z zadowoleniem stwierdził, że był dokładnie tam, gdzie chciał: w Pałacu Inwalidów.

Uwielbiał to miejsce od zawsze. Miało istotne znaczenie dla złowrogiej części jego gatunku. Zbudowane w formie mauzoleum, głęboko pod ziemią, w całości z marmuru, pięknie zdobione, z sarkofagami wzdłuż ścian dokoła. Budynek miał cylindryczny kształt, a jego strop piał się na sto stóp w górę i był zwieńczony kopułą. Panował w nim ponury nastrój, idealnie nadający się na miejsce spoczynku całej elity francuskiej armii.

Kyle wiedział również, że pewnego dnia pochowają tam też Napoleona.

Ale nie szybko. Był dopiero tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewiąty rok i Napoleon, ta kanalia niskiego wzrostu, wciąż żył jeszcze. Był ulubieńcem Kyle'a, przedstawicielem jego własnej rasy. Kyle zdał sobie sprawę, że Napoleon mógł mieć teraz około dwudziestu lat i stać u progu swojej kariery. Musiało minąć jeszcze trochę czasu zanim pochowają go w tym miejscu. Oczywiście, ponieważ Napoleon był jednym z nich, jego pogrzeb służył jedynie jako podstęp, by masy ludzkie myślały, że cesarz był taki, jak wszyscy.

Kyle uśmiechnął się na myśl o tym. Oto był tutaj, w miejscu ostatecznego spoczynku Napoleona, zanim ten jeszcze „umarł”. Nie mógł doczekać się, aby zobaczyć go ponownie, powspominać stare czasy. Był przecież jednym z niewielu przedstawicieli jego rasy, których Kyle darzył połowicznym szacunkiem. Był też aroganckim, mizernym łajdakiem. Kyle musiał przywołać go do porządku.

Przeszedł wolnym krokiem po marmurowej posadzce. Jego kroki rozbrzmiewały echem po całym wnętrzu. Rzucił okiem na siebie. Z pewnością pamiętał lepsze czasy. Stracił oko za sprawą okropnego dzieciaka, syna Caleba, a jego twarz nadal była zniekształcona dzięki temu, co zrobił mu Rexius w Nowym Jorku. Jakby tego nie było dość, miał również wielką ranę w policzku zadaną przez włócznię, którą cisnął w niego Sam w Koloseum. Przypominał wrak i dobrze o tym wiedział.

Ale w zasadzie mu się to podobało. Był twardy. Przeżył i nikt nie zdołał go powstrzymać. I był wściekły, jak nigdy przedtem. Był zdecydowany powstrzymać Caitlin i Caleba przed odszukaniem Tarczy, ale też był zdeterminowany sprawić, by oboje zapłacili mu za wszystko. Mieli cierpieć, tak samo jak on. Sam również dostał się na jego listę. Cała trójka – nie zamierzał spocząć dopóki nie podda ich powolnym torturom. W kilku skokach pokonał marmurowe schody i dostał się na górną kondygnację grobowca. Zatoczył koło, podszedł ku krańcowi kaplicy, pod ogromną kopułą i wcisnął dłoń za ołtarz. Poczuł wapienną ścianę i zaczął przeszukiwać szczelinę.

W końcu znalazł to, czego szukał. Nacisnął ukrytą zasuwę i otworzył skrytkę. Sięgnął dłonią i wyjął długi, srebrny miecz z rękojeścią inkrustowaną klejnotami. Podniósł go do światła i obejrzał z zadowoleniem. Dokładnie takim go zapamiętał.

Przewiesił go przez plecy, odwrócił się i skierował ku korytarzowi, do frontowych drzwi. Odchylił się i jednym potwornym kopniakiem wyrwał ogromne, dębowe drzwi z zawiasów, które padły z hukiem na ziemię, odbijając się echem w pustym budynku. Kyle poczuł satysfakcję, że tak szybko odzyskał pełnię sił.

Zauważył, że nadal była noc. Uspokoił się nieco. Gdyby zechciał, poleciałby nocnym niebem, wprost do swego celu – ale zależało mu na tym, by rozkoszować się każdą chwilą. Paryż w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku był szczególnym miejscem. Nierząd, alkoholizm, hazard

i przestępczość nadal szerzyły się tu w najlepsze. Mimo wspaniałych pozorów i architektury, istniała też gorsza strona, jak Paryż długi i szeroki. Podobało mu się to. Całe miasto miał na wyciągnięcie ręki.

Zamknawszy oczy, uniósł podbródek i zaczął nasłuchiwać, wczuwać się w otoczenie. Czuł wyraźnie obecność Caitlin w tym mieście. I Caleba. Co do Sama nie był już taki pewny, ale wiedział, że przynajmniej ta dwójka tu była. To dobrze. Pozostało mu jedynie ich znaleźć. Zamierzał wziąć ich z zaskoczenia i zabić oboje bez trudu. Przynajmniej tak to sobie wyobrażał. Paryż był o wiele przystępniejszym miejscem. Nie było tu Wielkiej Rady wampirów, jak w Rzymie, przed którą musiałby się tłumaczyć. A nawet lepiej, żył tu potężny klan wampirów, któremu przewodził Napoleon. A Napoleon był mu coś winien.

Kyle zdecydował, że pierwszym punktem jego planu było wyśledzenie tego mizeroty i zmuszenie go, by spłacił swój dług. Miał zamiar zwerbować wszystkich żołnierzy Napoleona, by zrobili, co w ich mocy, i odszukali Caitlin i Caleba. Wiedział, że ludzie Napoleona potrafili być użyteczni, gdyby natrafił na jakiś opór. Tym razem nie miał zamiaru ryzykować.

I wciąż miał czas. Mógł najpierw się nakarmić, stanąć obiema nogami pewnie na ziemi. Oprócz tego, jego plan już został wprowadzony w życie. Zanim opuścił Rzym, wyśledził Sergeia, swojego starego sługusa, i wysłał go tutaj przed sobą. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, Sergei już tu był i ciężko



pracował nad wykonaniem misji, infiltrując klan Aideny. Kyle uśmiechnął się szeroko. Nic nie sprawiało mu takiej radości, jak zdrajca, mała gnida pokroju Sergeia. W jego rękach stał się bardzo użyteczną marionetką.

Kyle zeskoczył po małych stopniach niczym sztubak, pełen radości, gotowy rzucić się na miasto, wziąć, na co przyszlaby mu ochota.

Kiedy ruszył jedną z miejskich ulic, podszedł do niego uliczny artysta z płótnem i pędzlem w dłoniach, gestami dając do zrozumienia, by pozwolił mu namalować jego wizerunek. Jeśli istniało coś, czego Kyle nienawidził, to był to człowiek chcący namalować jego portret. Był jednak w tak dobrym nastroju, że postanowił darować mu życie.

Kiedy jednak mężczyzna nie ustępował, idąc za Kylem nachalnie, niemal wciskając mu płótno, Kyle wyciągnął rękę, chwycił pędzel i wbił go dokładnie między oczy mężczyzny. Sekundę później człowiek padł martwy.

Kyle wziął płótno i rozdarł je nad trupem.

I poszedł dalej, całkiem z siebie zadowolony. Noc zapowiadała się wspaniale.

Skreślił w brukowaną alejkę i ruszył w kierunku dzielnicy, którą tak dobrze pamiętał. Po chwili wszystko zaczęło wyglądać znajomo. Na ulicach stały ladacznice, zachęcając go gestami. W pewnej chwili z knajpy wytoczyło się dwóch wielkich drabów, najwyraźniej pijanych, i zderzyło się z nim mocno, nie patrząc, gdzie szli.

– Hej, ty cymbale! – wrzasnął na niego jeden z nich.

Drugi odwrócił się do Kyle’a. – Hej, jednooki! – wrzasnął. – Patrz, gdzie idziesz!

Wielkolud sięgnął ręką w kierunku Kyle’a, zamierzając uderzyć go w pierś i popchnąć mocno. Jednak, kiedy jego pchnięcie nie zadziało, otworzył oczy szeroko z niedowierzania. Kyle nie drgnął nawet o cal. Jakby próbować pchnąć kamienny mur.

Kyle potrząsnął głową powoli, zdumiony głupotą dwójki mężczyzn. Zanim zdążyli zareagować, sięgnął za siebie, wy dobył miecz i jednym szybkim ruchem odrąbał im głowy w ułamku sekundy.

Obserwował z zadowoleniem, jak ich głowy potoczyły się na dół, a ich ciała zaczęły osuwać na ziemię. Odłożył miecz na miejsce, po czym sięgnął po bezgłowe ciało i przyciągnął do siebie. Zatopił długie kły w otwartej gardzieli i zaczął chleptać gwałtownie tryskającą wokół krew.

Usłyszał jak ulicznice podniosły nagle wrzask, kiedy zobaczyły, co się stało. Zaraz potem rozległ się trzask zamykanych drzwi i okiennic.

Uświadomił sobie, że obawiało się go już całe miasto.

Dobrze, pomyślał. Uwielbiał takie powitanie.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

Caitlin i Caleb oddalali się coraz bardziej od Paryża, szybując wczesnym rankiem nad francuskim wiejskim krajobrazem. Caitlin trzymała się mocno Caleba, który mknął, przecinając powietrze. Czuła się już silniejsza, czuła, że gdyby zechciała w tym momencie pofrunąć, udałoby się jej to. Ale nie chciała wypuszczać go z objęcia. Uwielbiała czuć jego ciało. Chciała jedynie trzymać go, poczuć, jak to jest być znowu razem. Obawiała się – wiedząc, że to szalone – iż po tak długiej rozłące, mógłby odlecieć już na zawsze, gdyby puściła go tylko na chwilę.

Krajobraz poniżej zmieniał się ustawicznie. Miasto szybko zniknęło za widnokregiem, a pojawiły się gęste lasy pokrywające bezkresne wzgórza. W pobliżu miasta zdarzały się sporadyczne domostwa i gospodarstwa. Im dalej jednak lecieli, tym bardziej teren pustoszał, Mijali pola, ciągnące się łąki, sporadyczne gospodarstwa, owce pasące się nieopodal. Z kominów unosił się dym. Zgadywała, że ludzie zapewne właśnie coś gotowali. Na trawnikach na rozciągniętym sznurze wisiały prześcieradła. Otaczały ich sielankowe sceny, a lipcowa temperatura spadła na tyle, że chłodniejsze powietrze, zwłaszcza na tej wysokości, przyniosło im orzeźwienie.

Po wielu godzinach lotu, kiedy minęli kolejny zakręt, nowy widok zaparł Caitlin dech w piersiach: w oddali na horyzoncie połyskiwało morze, mieniając się żywym błękitem. Jego fale

rozbijały się o bezkresne, nieskazitelne brzegi. Kiedy zbliżyły się bardziej, ziemia wzniosła się i wzgórzami ciągnęła się aż do morskiego brzegu.

Wśród tych wzgórz, spoczywała strzelista budowla. Wyróżniając się na tle horyzontu, stał wspaniały, średniowieczny zamek, zbudowany z wapienia, ozdobiony rzeźbami i gargulcami. Znajdował się wysoko na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na morze. Jak okiem sięgnąć, otaczały go pola pełne kwiatów. Widok tak piękny, że zapierał dech w piersi, sprawił, że Caitlin odniosła wrażenie, iż znalazła się w pocztówce.

Jej serce zabiło mocniej z podekscytowania, kiedy pojawiła się nadzieja, marzenie, aby właśnie to miejsce należało do Caleba. I w jakiś sposób czuła, że tak było.

– Tak – zawołał, przekrzykując szum wiatru, czytając jak zwykle w jej myślach. – To tu.

Jej serce zabiło mocniej z zachwyty. Była taka rozentuzjasmowana. Czuła też w sobie siłę. Była gotowa polecieć dalej o własnych siłach.

Nagle zeskoczyła z Caleba i poleciała, szybując w powietrzu. Przez moment poczuła strach, że jej skrzydła się nie rozwiną. W następnej jednak chwili rozwinęły się, dając jej oparcie w powietrzu.

Uwielbiała uczucie, kiedy napierało na nie powietrze. Wspaniale było znowu je mieć, być niezależną. Wzlatywała i opadała, pikując tuż przy uśmiechającym się do niej Calebem.

Nurkowali i wlatywali razem, wchodząc co rusz sobie w drogę, stykając się czasami koniuszkami skrzydeł.

Zanurkowali razem w powietrzu jak na komendę, opadając w pobliżu zamku. Wyglądał wiekowo, sprawiał wrażenie wysłużonego, ale nie w negatywnym znaczeniu. Caitlin od razu poczuła się tu jak w domu.

Chłonąc te wszystkie widoki: krajobraz, rozległe wzgórza, odległy ocean, pierwszy raz od niepamiętnych czasów poczuła spokój. Nareszcie poczuła się, jak w domu. Oczami wyobraźni zobaczyła własne życie spędzone tutaj u boku Caleba, może nawet ponowne założenie rodziny, jeśli to było możliwe. Byłaby tak bardzo szczęśliwa, dożywszy swych dni w tym miejscu razem z Calebem – i rodziną. Nareszcie nie dostrzegała niczego, co mogłoby stanąć im na drodze.

\*

Wylądowali razem przed zamkiem. Dębowe wrota pokrywała gruba warstwa kurzu i morskiej soli. Najwyraźniej nie były otwierane od wielu lat. Spróbował użyć klamki. Były zamknięte na klucz.

– Minęły setki lat – powiedział Caleb. – Jestem mile zaskoczony, że nadal tu stoi, że uniknął dewastacji, że nawet wciąż jest zamknięty. Tu gdzieś był klucz...

Sięgnął ręką wysoko nad framugą i wyczuł szczelinę za kamiennym łukiem. Przesunął palcami w górę i w dół, wzdłuż

szpary, aż w końcu zatrzymał się i wyjął podłużny, srebrny, zwyczajny klucz.

Wsunął go do otworu. Klucz pasował idealnie. Caleb obrócił go ze szczękiem.

Odwrócił się i uśmiechnął do Caitlin, ustępując jej z drogi.

– Czyń honory – powiedział.

Caitlin popchnęła ciężkie, średniowieczne drzwi, które otworzyły się powoli ze skrzypieniem. Skorupa soli zaczęła opadać od nich całymi grudkami.

Weszli razem do wnętrza. Komnata wejściowa tonęła w mroku i niezliczonych pajęczynach. Powietrze zastygło w bezruchu przepełnionym wilgocią. Sprawiało wrażenie, że od stuleci nikt tu nie zawitał. Spojrzała w górę, na wysoko sklepione mury, potem na kamienną posadzkę. Na wszystkim spoczywała gruba warstwa kurzu, łącznie z oszklonymi oknami, blokując znaczną ilość światła, dzięki czemu było tu ciemniej niż w rzeczywistości.

– Tędy – powiedział Caleb.

Chwycił jej dłoń i poprowadził wąskim korytarzem, który skończył się wejściem do okazałej sali z wysokimi oknami po obu stronach. Było tu znacznie widniej, pomimo tego całego kurzu. Pozostały też jakieś meble: długi, dębowy, średniowieczny stół otoczony zdobionymi, drewnianymi krzesłami. Na środku tkwił ogromny, marmurowy kominek, jeden z największych, jakie Caitlin do tej pory widziała. Był niewiarygodny. Caitlin poczuła, jakby weszła do klasztoru.

Zleciłem jego budowę w dwunastym wieku – powiedział, rozglądając się wokół. W tamtych czasach właśnie taka była moda.

– Mieszkałeś tu? – spytała Caitlin.

Skinął głową.

– Jak długo?

Namyślił się.

– Jakies sto lat – odparł. – Może dwieście.

Caitlin nie mogła wyjść z podziwu dla ogromu czasu, w jakim funkcjonował świat wampirów.

Nagle jednak zmartwiła się, gdy do głowy przyszła jej pewna myśl: czy mieszkał tu z inną kobietą?

Aż bała się zapytać.

– Nie – odparł. – Mieszkałem tu sam. Zapewniam cię. Jesteś pierwszą kobietą, którą kiedykolwiek tu zabrałem.

Caitlin poczuła ulgę, aczkolwiek również zażenowanie, że odczytał jej myśli.

– Chodź – powiedział. – Tędy.

Poprowadził ją w górę po spiralnych schodach, które wiły się aż do drugiego piętra. Było tu o wiele jaśniej. Wielkie, sklepienie okna wychodziły na wszystkie strony, wpuszczając promienie słońca odbijające się od odległego morza. Komnaty były tu mniejsze, bardziej intymne. Było też więcej marmurowych kominków. Przechadzając się między komnatami, Caitlin odkryła w jednej z nich wielkie łóżko z baldachimem. W innych komnatkach stały szezlongi i krzesła wyściełane aksamitem. Nie

zauważyła żadnych chodników, jedynie gołe podłogi. Miejsce to tchnęło surowością, ale jednocześnie było piękne.

Poprowadził ją przez jedną komnatę ku ogromnym, szklanym drzwiom. Były pokryte tak grubą warstwą kurzu, że w ogóle ich nie zauważyła. Podeszedł do nich, szarpnął, mocując się z zamkiem i klamką, aż wreszcie ustąpiły z trzaskiem i chmurą kurzu.

Wyszedł na zewnątrz, a Caitlin poszła za nim.

Wyszli na ogromny, kamienny taras zdobiony marmurami i blankami w kształcie kolumn. Podeszli razem do muru i wyjrzeni na zewnątrz.

Roztaczał się stąd widok na cały krajobraz i ocean. Caitlin słyszała rozbijające się fale, czuła zapach morza niesiony przesyconymi nim podmuchami wiatru. Odniosła wrażenie, że oto znalazła się w niebie.

Jeśli kiedykolwiek miałyby wymarzyć sobie swój dom, to właśnie tak zdecydowanie by wyglądał. Wszędobylski kurz wymagał kobiecej dłoni, ale Caitlin wiedziała, że mogłaby zaprowadzić tu porządek, przywrócić niegdyśiejszy stan. Czuła, że rzeczywiście było to miejsce, które mogliby nazwać swoim domem.

– Myślałem o tym, co powiedziałaś – powiedział – przez cały lot tutaj. O tym, że moglibyśmy spędzić tu nasze życie. Bardzo tego pragnę.

Objął ją ramieniem.

– Chciałbym, abyś tu ze mną zamieszkała. Abyśmy tutaj



zaczęli wspólne życie od nowa. Właśnie tu. Jest tak cicho, spokojnie i bezpiecznie. Nikt nie zna tego miejsca. Nikt nas tu nigdy nie znajdzie. Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy tu spędzić naszego życia jak normalni ludzie. Oczywiście, czeka nas sporo pracy, ale jestem na to gotów, jeśli i ty tego chcesz.

– Z wielką ochotą – odparła. – Chcę jedynie być już zawsze z tobą.

Jej serce zabiło mocniej, kiedy zbliżyli się i zwarli w pocałunku na tle szumiących fal i podmuchów morskiej bryzy.

Nareszcie cały jej świat był znów idealny.

\*

Caitlin nigdy jeszcze nie była taka radosna. Przechadzała się po komnatach ze ścierką w dłoni. Caleb opuścił ją, odleciał na polowanie, przejęty zadaniem zdobycia obiadu dla nich obojga. Caitlin była zachwycona, gdyż dzięki temu miała trochę czasu, by zwiedzić dom, zapoznać się z nim całym, spojrzeć kobiecym okiem i ocenić, jak zaprowadzić porządek i stworzyć tu ich wspólny dom.

Pokonywała pokoje, otwierając okna i wpuszczając oceaniczne powietrze. Znalazła wiadro i ścierkę, z którymi poszła do strumienia, który zauważyła, przebiegając przez podwórze i wróciła z wiadrem pełnym wody. Moczyła ścierkę w strumieniu tak długo, aż była możliwie najczystsza. Potem

znalazła wielką skrzynkę, przystawiała do kolejnych okien, wchodziła na nią, otwierała ogromne, średniowieczne skrzydła i myła szyby. Kilka okien było dla niej zbyt wysokie. Wówczas użyła skrzydeł. Podfrunęła i umyła je, zawisnąwszy wysoko w powietrzu.

Była zdumiona natychmiastową zmianą, jaka zaszła w komnatach. Ginące do tej pory w mroku wnętrza, całkowicie zalało światło. Na szybach, po obu stronach, musiał nagromadzić się wielowiekowy kurz i sól. Już samo otwarcie okien było nie lada wyczynem. Musiała użyć wszystkich sił, by oswobodzić je z narosłego brudu.

Przeglądała się im uważnie i z podziwem dla kunsztu ich wykonania. Każda szyba miała kilka cali grubości i swój niepowtarzalny kształt. Niektóre wypełniały witraże, inne były przezroczyste, a jeszcze inne były zabarwione najdelikatniejszymi odcieniami farby. Kiedy kończyła wycierać kolejne okno, niemal czuła wdzięczność domostwa, które powoli, cal po calu wracało do życia.

Kiedy skończyła, zlustrowała wzrokiem swoje dzieło. Była w szoku. To, co przedtem było mrocznym, niezbyt zachęcającym pokojem, stało się niewiarygodnym, pełnym słonecznego blasku wnętrzem, z którego rozpościerał się widok na ocean.

Następnie zajęła się podłogami. Opadła na kolana i szorowała posadzkę. Z zadowoleniem obserwowała, jak odrywały się od niej sterty brudu, spod którego zaczęły połyskiwać wielkie, piękne kamienie.

Później skierowała się do ogromnego, marmurowego kominka. Zaczęła ścierać z gzymsu latami narosły kurz. Następnie zajęła się wiszącym nad nim ogromnym, ozdobnym lustrem. Wycierała je tak długo, aż zaczęło lśnić. Była przybita faktem, że nadal nie mogła ujrzeć w nim swego odbicia – wiedziała jednak, że nic na to nie mogła poradzić.

Następnie zajęła się żyrandolem. Przetarła każdy, wysadzany kryształami świecznik. Później jej wzrok spoczął na łożu. Wytarła po kolei każdy z czterech słupków, całą ramię, powoli zwracając życie pradawnemu drewnu. Chwyciła wiekowe, będące w niezłym stanie narzuty, wyszła z nimi na taras i wytrzepała ze wszystkich sił, wytrząsając chmury kurzu na wszystkie strony.

Wróciła do pokoju, jej przyszłej sypialni i zlustrowała wzrokiem: prezentowała się teraz wspaniale. Błyszczała jasno jak każda inna w jakimkolwiek zamku. Nadal tchnęła duchem średniowiecza, ale teraz przynajmniej była czysta i kusząca. Na myśl o zamieszkaniu tutaj poczuła, jak jej serce zabiło mocniej.

Spuściła wzrok i zauważyła, że woda w wiadrze jest czarna. Zeskoczyła po stopniach i wyszła z wiadrem przez drzwi z zamiarem ponownego napełnienia go czystą wodą ze strumienia.

Uśmiechnęła się na myśl, jak zareaguje Caleb po powrocie. Będzie zdziwiony, pomyślała. Zamierzała wyczyścić następnie jadalnię. Spróbować stworzyć intymną atmosferę, w której mogliby spożyć swój pierwszy posiłek w nowym domu – pierwszym z wielu. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Kiedy przybyła nad brzeg strumienia i stanęła po kolana w miękkiej trawie, opróżniając wiadro i napełniając je ponownie, nagle poczuła jak jej zmysły wyostrzyły się, ostrzegając przed czymś. Usłyszała szelest, całkiem niedaleko, i wyczuła zbliżające się zwierzę.

Obróciła się szybko, a to, co zobaczyła, zaskoczyło ją.

Kilka stóp dalej ujrzała wilcze szczenię, które podchodziło do niej powoli. Pokryte było białym futrem, z jedną szarą smugą ciągnącą się wzdłuż czoła i grzbietu. To, co uderzyło w nim Caitlin najbardziej, to jego oczy: wpatrywały się w nią, jakby dobrze ją znały. Co więcej, były takie same jak u Róży.

Czuła, jak mocno biło jej serce. Miała wrażenie, że oto Róża powróciła do niej ze świata umarłych, że odrodziła się w innym zwierzęciu. To spojrzenie, ten wyraz twarzy. Barwa futra była inna, lecz równie dobrze mogła to być odrodzona Róża.

Wilczę było również zaskoczone jej widokiem. Zatrzymało się, wpatrując wciąż w jej twarz, po czym podeszło do niej ostrożnie. Caitlin rozejrzała się wokół, lustrując okoliczny las, szukając wzrokiem innych wilcząt, czy też jego matki. Nie chciała, by skończyło się to walką.

Lecz nigdzie w zasięgu wzroku nie było żadnego zwierzęcia.

Kiedy przyjrzała się szczenięciu, zrozumiała dlaczego. Utykało mocno, a z jego łapy ciekła krew. Wyglądało na ranne. I prawdopodobnie, Caitlin uświadomiła sobie dopiero teraz, porzucone przez matkę na pewną śmierć.

Szczenię spuściło łepki i podeszło powoli wprost do Caitlin.

Potem, ku jej zdumieniu, złożyło głowę na jej kolanach i, kwiląc cicho, zamknęło oczy.

Serce Caitlin zabiło mocno. Tak bardzo tęskniła za Różą, a teraz odniosła wrażenie, że ta do niej wróciła.

Postawiła wiadro na ziemi, sięgnęła rękoma i wzięła szczenię w ramiona. Przytuliła do siebie, płacząc, rozpamiętując wszystkie chwile spędzone z Różą. Wbrew sobie poczuła, jak po policzkach pociekły jej łzy. Wilczek spojrzał nagle na nią, jak gdyby wyczuł jej nastrój, odchylił się i zlizął łzy z jej twarzy.

Caitlin nachyliła się i pocałowała szczenię w czoło. Trzymała je mocno, tuląc do swej piersi. Nie było mowy o tym, żeby je teraz puściła. Zamierzała zrobić wszystko, by pomóc zwierzęciu, wyleczyć rany i przywrócić je do życia. I, gdyby wilczę tylko zechciało, zatrzymać je przy sobie.

– I jak mam cię nazwać? – spytała. – Druga Róża nie będzie pasować... Może... Ruth?

Szczenię polizało ją nagle po policzku, jakby w odpowiedzi na to imię. Była to najlepsza odpowiedź, o jaką Caitlin mogłaby prosić.

I tak już zostało. Ruth.

\*

Caitlin, z Ruth u boku, skończyła właśnie sprzątać jadalnię, kiedy zauważyła coś ciekawego pod ścianą. Tuż obok kominka leżały dwa długie srebrne miecze. Podniosła jeden, wytarła z

kurzu i z podziwem przyjrzała się inkrustowanej klejnotami rękojeści. Była to piękna broń. Odłożyła ścierkę i wiadro i nie mogła oprzeć się wypróbowaniu go. Zamachnęła się mieczem na oślep, w lewo i prawo, zmieniając dłoń, wymachując nim w olbrzymim pomieszczeniu. Wspaniałe uczucie.

Zaczęła zastanawiać się, ile innej broni Caleb tu przetrzymywał. Mogłaby potrenować z nią na otwartej przestrzeni.

– Widzę, że znalazłeś broń – powiedział Caleb, wchodząc nagle przez drzwi. Catlin odłożyła miecz natychmiast. Była zażenowana.

– Wybacz, nie zamierzałam wściubiać nosa w twoje sprawy. Caleb zaśmiał się.

– Mój dom jest też twoim – powiedział i wszedł do pokoju, niosąc dwie okazałe sztuki sarniny przewieszone przez bark. – Cokolwiek posiadam, należy do ciebie. Poza tym, właśnie takie dziewczyny lubię. Sam również wypróbowałbym te miecze – powiedział i mrugnął okiem.

Ruszył przez pokój, niosąc zdobycz, kiedy nagle zatrzymał się i obrócił, reagując z opóźnieniem.

– No! No! – zawołał zszokowany. – Ten pokój wygląda teraz jak nowy!

Stał, gapiąc się szeroko otwartymi oczyma. Caitlin zauważyła, że rzeczywiście był pod wrażeniem i była szczęśliwa. Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że istotnie wewnątrz przeszło przemianę. Teraz mieli już wyborną jadalnię, wyposażoną w stół i krzesła,

gotową na ich pierwszy posiłek.

Nagle Ruth zaskomlała – Caleb spuścił wzrok i pierwszy raz ją zobaczył. Wyglądał na jeszcze bardziej zdumionego.

Caitlin poczuła obawę, czy aby Caleb nie będzie miał nic przeciwko trzymaniu tu szczenięcia.

Ale z ulgą zauważyła, jak jego oczy otworzyły się szeroko z zachwyty.

– Nie wierzę – powiedział, gapiąc się wciąż. – Te oczy... wygląda dokładnie jak Róża.

– Możemy ją zatrzymać? – Caitlin zapytała z wahaniem.

– Z przyjemnością – odparł Caleb. – Uściskałbym ją, ale mam ręce zajęte zwierzyną.

Ruszył dalej przez pokój i korytarz. Caitlin z Ruth podążyły za nim i zobaczyły, jak złożył sarninę w niewielkim pokoju, na wielkiej kamiennej płycie.

– Ponieważ tak naprawdę nie gotujemy – powiedział – pomyślałem, że odsączę dla nas krew. Będziemy mogli wypić ją razem, na obiad. Pomyślałem, że zajmę się brudną robotą tutaj, abyśmy mogli zasiąść przed kominkiem i napić się kulturalnie.

– Tak będzie cudownie – odparła Caitlin.

Ruth usiadła Calebowi niemal na piętach, spojrzała na niego w górę i zaskowyczała, kiedy on kroił mięso. Roześmiał się, odciął niewielki kawałek, pochylił się i podał jej do pyszczka. Chwyciła skwapliwie kęs i natychmiast zaskomlała o jeszcze.

Caitlin wróciła do jadalni, aby powycierać kielichy, które tam wcześniej zauważyła. Przy kominku spoczywała sterta futer.

Zebrała je wszystkie, wyniosła na taras i wytrzepała.

Czekając na Caleba, aż skończy przygotowywać posiłek, spoglądała na zachodzące na horyzoncie słońce. Słyszała szum fal, oddychała słonawym powietrzem i czuła się swobodnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Stojąc tak, zamknęła oczy nieświadoma mijającego czasu.

Kiedy je otworzyła, było już niemal ciemno.

– Caitlin? – usłyszała wzywający ją głos.

Odwróciła się i pospiesznie weszła do środka. Caleb czekał już tam na nią, niosąc dwa wielkie kielichy sarniej krwi. Zapalał właśnie świece w całym pograżonym w cieniu pomieszczeniu. Podeszła i przyłączyła się do niego, odkładając futra na miejsce.

Po kilku chwilach pomieszczenie jaśniało światłem bijącym od płonących wszędzie świec. Spoczęli razem na futrach, przed kominkiem, a Ruth podbiegła i usadowiła się tuż obok. Okna były otwarte i do środka wpadał lekki wietrzyk, schładzając powietrze w pokoju.

Siedzieli razem, patrząc sobie w oczy i wznosząc toast. Płyn sprawiał przyjemne uczucie. Piła i piła, podobnie zresztą jak i on. Nigdy jeszcze nie czuła się tak ożywiona. Czuła niewiarygodny wręcz przyływ energii.

Caleb również wyglądał na ożywionego. Jego oczy i skóra błyszcząły. Odwrócili się ku sobie.

Caleb podniósł rękę i powoli dotknął jej policzka grzbietem dłoni.

Serce Caitlin zaczęło mocno bić. Zdała sobie sprawę, że



się denerwuje. Miała wrażenie, że minęła wieczność od chwili, kiedy ostatni raz z nim była. Tyle razy wyobrażała sobie tę chwilę, a kiedy już nadeszła, czuła, jakby miał to być jej pierwszy raz z nim, jakby wszystko zaczynało się od początku. Widziała, że jego dłoń trzęsła się, że on również się denerwował.

Było tyle rzeczy, które chciała mu powiedzieć, tyle pytań, które chciała mu zadać. Widziała też, że i w nim gotowało się od niewypowiedzianych pytań. Jednak w tej chwili nie ufała sobie na tyle, aby przemówić. I najwidoczniej on również.

Pocałowali się namiętnie. Kiedy jego usta spotkały jej, poczuła jak ogarnia ją uczucie, które żywiła do niego.

Zamknęła oczy, kiedy zbliżył się, kiedy splekli się w namiętnym uścisku. Przetoczyli się na futra, a ona poczuła, jak jej serce przepełnia szczęście.

Wreszcie należał do niej.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Polly podążała zamaszystym krokiem korytarzami Wersalu, wybijając obcasami rytm na marmurowej posadzce, pędząc przez nieskończenie długi korytarz ze strzelistymi sklepieniami, figurami, marmurowymi kominkami, ogromnymi lustrami, z nisko wiszącymi żyrandolami. Wszystko wokół niej lśniło.

Ale ona ledwie zwracała na to uwagę; nic innego nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Mieszkając tu już tyle lat, nie potrafiła po prostu wyobrazić sobie innego życia.

Coś jednak zwracało jej uwagę – i to bardzo – a mianowicie Sam. Taki przybysz jak on nie mieścił się w żadnej mierze w ramach codziennej rutyny – i w rzeczy samej, był niezwykle. Rzadko gościli u siebie inne wampiry i to przybywające z innych czasów, a kiedy już do tego dochodziło, Aiden zdawał się w ogóle tym nie przejmować. Zdała sobie sprawę, że Sam musiał być bardzo ważny. Zaintrygował ją. Wydawał się nieco młody i jakby trochę się telepał.

Ale jednocześnie miał coś takiego w sobie, coś, czego nie potrafiła określić. Miała wrażenie, że spotkała go już wcześniej, lub, że był związany z kimś, kto był dla niej ważny.

I to właśnie było takie dziwne. Jeszcze wczorajszej nocy przyśnił jej się sen, jeden z tych najbardziej sugestywnych. O dziewczynie zwanej Caitlin. Widziała jej twarz, jej oczy, włosy, nawet w tej chwili. We śnie dowiedziała się, że ta dziewczyna

była jej najlepszą przyjaciółką, taką do końca życia, i przez cały sen miała wrażenie, że połączyła je przyjaźń na wieki. Obudziła się z przekonaniem, że wydarzyło się to naprawdę, że było to raczej spotkanie, nie sen. Nie potrafiła tego zrozumieć, lecz obudziła się, pamiętając każdy szczegół dotyczący tej dziewczyny, każdą chwilę razem z nią spędzoną.

Nie miało to sensu, gdyż wiedziała, że nigdy nie była w tych miejscach. Zastanawiała się, czy w jakiś sposób nie zaglądała do przyszłości? Wiedziała, że wampiry odwiedzały się wzajemnie we snach i że sporadycznie obdarzone były mocami zaglądania w przyszłość i przeszłość. Moce te jednak były nieprzewidywalne. Mógł to być również jedynie świat iluzji. Nigdy nie było wiadomo: czy widziałeś przyszłość, przeszłość, czy może był to tylko sen?

Zbudziwszy się, Polly zaczęła szukać Caitlin, jakby naprawdę ją знаła. Poczuła, jak za nią tęskni, kiedy przemierzała sale. Istne szaleństwo. Tęsknić za dziewczyną, której nigdy nawet nie spotkała.

I wtedy pojawił się ten chłopiec. Sam. I z jakiegoś szalonego powodu, Polly poczuła, że jego energia łączyła się z nią. W jaki sposób – tego nie potrafiła powiedzieć. Może i to tylko sobie wyobrażała?

Poza tym wszystkim, uświadomiła sobie, że czuła coś do Sama. Nie powiedziałaaby, że zawrócił jej w głowie. Ale też nie był jej obojętny. Miał coś takiego w sobie. Nie była w nim zakochana. Raczej... zaintrygowana. Chciała wiedzieć o nim

więcej.

To sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej poruszona, kiedy Kendra uważnie mu się przyglądała. Niekoniecznie chciała go dla niego samego. Na to, by być tego pewną, było jeszcze o wiele za wcześnie. Ale bardziej dlatego, że wydawał się taki niewinny, naiwny, taki łatwowierny. A Kendra była sępem. Była członkiem królewskiej rodziny, nigdy nie usłyszała głosu sprzeciwu, i w magiczny sposób dostawała wszystko, czego chciała, od kogokolwiek.

Polly zawsze wyczuwała, że Kendra kierowała się złowrogimi zamiarami. Od lat próbowała namówić wszystkie wampiry w jej klanie, by ją przemieniły. Oczywiście, było to zakazane i nikt nie wyświadczył jej tej przysługi. Teraz jednak Polly czuła, że na cel wzięła Sama. Przybyła świeża krew i Kendra była zdecydowana spróbować ponownie.

O tak, to był dla niej wyjątkowy dzień. W jej głowie kotłowały się różne myśli. Idąc dalej, zorientowała się, że była już spóźniona. Nowy śpiewak, o którym wszyscy tyle rozmawiali, dawał właśnie prywatny koncert dla Marii i jej świty. Ów śpiewak był już tu od tygodni i wszystkie dziewczęta rozprawiały nie tyle o jego głosie, co o wyglądzie. Miała wielką ochotę zobaczyć go na własne oczy. Nie mogła się tego doczekać i teraz była podwójnie poirytowana, przychodząc na samą końcówkę koncertu.

Kiedy wpadła do kolejnego korytarza, pomyślała, że cały szkopuł leżał w tym miejscu. Było po prostu zbyt duże. Nie

sposób było dotrzeć gdziekolwiek na czas.

Przyspieszyła tempa i w końcu dotarła do końca kolejnego korytarza. Dwóch strażników otworzyło dla niej wielkie, dwuskrzydłowe drzwi. Weszła od razu do środka, a kiedy zamknęły się za nią, poczuła zażenowanie.

Cała sala odwróciła się i spojrzała na nią, podczas gdy śpiewak kontynuował swój występ. Uświadomiła sobie, że przerwała koncert. Zaczzerwieniła się i osunęła na krzesło w tyle sali, pośród swoich przyjaciół.

Powoli wszyscy odwrócili spojrzenia. Wówczas rozsiadła się wygodnie i zdała sobie sprawę, że koncert dobiegł niemal końca.

Podniosła wzrok i zaczęła przyglądać się artyście, a kiedy ujrzała jego twarz po raz pierwszy, wpadła w osłupienie. Był cudowniejszy, niż w opisach wszystkich tych ludzi. Miał ciemną karnację, ciemne oczy oraz ciemne, falujące włosy. Jego twarz miała idealne wręcz rysy. Był ubrany po królewsku od stóp do głów, mając na sobie czarny, krótki, aksamitny surdut, białe pończochy i lśniące czarne buty. Stał pośrodku niewielkiej sceny i wyglądał na pewnego siebie, jakby wszystko miał pod kontrolą. Wyglądało na to, że prawdopodobnie był... Rosjaninem.

Mimo tego miał hipnotyzujący głos. Kiedy śpiewał, Polly czuła się, jak sparaliżowana. Była całkowicie na nim skupiona, bezradna, mogła jedynie słuchać go i patrzeć.

Kiedy skończył śpiewać, Polly była wciąż poruszona, gapiała się na niego, wsłuchując w ostatnie dźwięki. Pozostali zaś wstawali z miejsc, klaskali i podchodzili do niego. Otoczyli go

tłumnie, podczas gdy śpiewak stał pośrodku, uśmiechając się i  
pławiąc w blasku sławy.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.